



IWAN JEFREMOW

GWIEZDNE

OKRĘTY

KSIĄŻKA i WIEDZA



Warszawa 1949

Miranda

&



Książka i Wiedza

*

Warszawa

Printed In Poland Lipiec 1949 rok

*

Przekład

ZOFII BEYLIN

*

Okladkę projektował

Jan Lonica

M-54419

Tłoczono 15 370 egzemplarzy

Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Krakowie

Obj. 8,25 ark. Papier dzieł, żeberk. kl. V, 80 g, 70 x 100 Zam. nr. 72, z 14. V, 49. Oddano do składu 15. V, Druk ukończono w czerwcu 1949.

Rozdział I

Na progu wynalazku

— Kiedy przyjechaliście, Aleksy Piotrowiczu? Dużo ludzi pytało tu o was!

— Przyjechałem dziś, ale nie dla wszystkich jestem obecny. Bardzo proszę zamknąć w pierwszym pokoju okno!

Przybyły zdjął stary płaszcz wojskowy, otarł chusteczką twarz, przyglądził swoje jasne, mocno przerzedzone na ciemieniu włosy i siadł w fotelu; następnie zapalił papierosa i zaczął chodzić po zastawionym szafami i stołami pokoju.

— Czyżby to było możliwe?! — powiedział w zamyśleniu.

Podszedł do jednej z szaf i z wysiłkiem otworzył wysokie dębowe drzwi. Białe poprzeczki półek zarysowały się wyraźnie na tle ciemnej głębi szafy. Na jednej z nich stało pudło w kształcie sześcianu, zrobione z żółtej, lśniącej jak kość tektury. W poprzek jednej z krawędzi umocowana była nalepka z szarego papieru upstrzona grubymi, czarnymi chińskimi hieroglifami. Na powierzchni pudła widniały rozrzucone kółka stempli pocztowych.

Długie, blade palce profesora lekko dotknęły sześcianu.

— Tao-Li, nieznanym przyjacielu! Nadszedł czas, kiedy trzeba działać!

Profesor Szatrow cicho przymknął drzwi szafy, wziął wytarty portfel i wyjął z niego zniszczony wilgocią zeszyt w szarej, tekturowej oprawie. Ostrożnie odrywając zlepione arkusze, profesor przeglądał przez powiększające szkło kolumny cyfr i od czasu do czasu robił w dużym notesie wyliczenia.

W popielniczce zwiększał się stos niedopałków i zapalek, a powietrze w pokoju zbłękitniało od dymu papierosów.

Niezwykłe jasne oczy Szatrowa błyszczały spod gęstych, krzaczastych brwi. Wysokie czoło myśliciela, kwadratowe szczęki i ostro zarysowane nozdrza potęgowały wrażenie niepospolitej mocy duchowej i nadawały profesorowi wygląd fanatyka.

Wreszcie uczony odsunął zeszyt.

— Tak, siedemdziesiąt milionów lat! Siedemdziesiąt milionów! O key! — Szatrow uczynił ręką raptowny gest, jak gdyby przebijał coś, co mu stoi na przeszkodzie, chytrze zmrużył oczy i znów głośno powiedział: — Siedemdziesiąt milionów!... Tylko się nie obawiać!

Profesor powoli i systematycznie sprzątnął wszystko z biurka, ubrał się i poszedł do domu.

Szatrow wszedł szybko do swego pokoju, rzucił spojrzenie na ustawione we wszystkich kątach „brąziki“, jak nazywał swój zbiór artystycznych rzeźb z brązu, siadł przy okrytym ciemną ceratą biurku, na którym krab z brązu dźwigał na grzbiecie ogromny kałamarz, i zaczął przeglądać album.

Profesor był doskonałym malarzem-samoukiem i rysowanie dawało mu spokój i ukojenie. Dziś jednak nawet pomysłowa kompozycja, którą wykonał, nie pomogła mu opanować podniecenia. Szatrow zamknął nerwowo album, wstał od stołu i sięgnął po paczkę starych, pomiętych nut. Wkrótce stara fisharmonia nappełniła pokój śpiewnymi dźwiękami intermezza¹ Brahmsa. Szatrow grał rzadko i źle, ale zawsze brał się śmiało do rzeczy trudnych i nie krępował się brakiem umiejętności, gdyż grał tylko wtedy, gdy był sam. Mrużąc swoje oczy krótkowidza, profesor wpatrywał się w nuty i przypominał sobie wszystkie szczegóły podróży, którą niedawno odbył, tak niezwykłej dla niego, pustelnika zamkniętego w pracowni.

Jeden z byłych uczniów Szatrowa przerzucił się na wydział astronomiczny i opracował oryginalną teorię ruchu systemu słonecznego w przestrzeni. Po- między profesorem a Wiktorem (tak nazywał się były uczeń) zadzierzgnęły się przyjazne i trwałe stosunki. Wiktor poszedł jako ochotnik do wojska i został skierowany do szkoły czołgistów, gdzie przeszedł dłuższe przeszkolenie. W tym okresie zajmował się także swoją teorią. Na początku 1943 roku, Szatrow otrzymał od Wiktora długi list. Uczeń pisał, że udało mu się zakończyć swoją pracę. Wiktor obiecywał przysłać zeszyt ze szczegółowym wyjaśnieniem swojej teorii natychmiast po przepisaniu wszystkiego na czysto. Był to ostatni list, jaki profesor otrzymał od niego. Wkrótce uczeń zginął w wielkiej bitwie czołgów.

Szatrow nie otrzymał więc przyrzeczonego zeszytu. Wszczął energiczne poszukiwania, które okazały się bezcelowe; profesor przypuszczał, że formacja czołgowa Wiktora została nagle rzucona do walki i uczeń nie zdążył po prostu przesłać mu swoich obliczeń. Niespodzianie, już po wojnie, Szatrow odnalazł majora, który był zwierzchnikiem nieżyjącego Wiktora. Major brał udział w bitwie, w której zginął Wiktor, a teraz leczył się w Leningradzie, gdzie pracował Szatrow. Nowy znajomy zapewnił profesora, że czołg Wiktora został silnie uszkodzony

¹ * **Intermezzo** — niewielki utwór fortepianowy. W danym wypadku chodzi o słynne intermezzo Brahmsa.

uderzeniem pocisku, ale nie spalił się i dlatego jest nadzieja odnalezienia dokumentów zabitego, oczywiście, jeśli znajdowały się w czołgu. Według przypuszczeń majora, czołg powinien jeszcze i teraz stać na polu walki, które zaraz potem zostało zaminowane. Profesor wraz z majorem odbyli podróż do miejsca, w którym zginął Wiktor.

I oto przed profesorem spośród linijek zmiętych nut zjawily się obrazy niedawno przeżytych chwil...

*

* *

— Proszę się zatrzymać, profesorze! Ani kroku dalej! — krzyknął pozostający w tyle major.

Gwałtowny i ruchliwy Szatrow zatrzymał się posłusznie, pochylając głowę.

Przed nim, na zalanym słońcem polu nieruchomo sterczała wysoka, soczysta trawa. Perliste krople rosy skrzyły się na liściach, na puszystych wierzchołkach słodko pachnących białych kwiatów, na liliowych kiściach kwiatostanu wierzbowki. Owady pracowicie brzęczały nad wysoką jaskrawo-zieloną trawą w ciepłym słońcu poranka. Dalej widniał przetrzebiony przed trzema laty pociskami las, który rzucał nierówny, często rozjaśniony promieniami słońca cień — przypominający powoli gojące się rany wojny. Pole pełne było bujnego życia roślin. Ale tam w gęstwinie trawy czaiła się śmierć, której sidła, zastawione przez wroga, nie zostały jeszcze zniszczone i zwyciężone ani przez przyrodę, ani przez czas.

Bujnie rosnąca trawa przykryła zranioną ziemię, skopaną pociskami min i bomb, zoraną gąsienicami czołgów, usianą odłamkami i zalaną krwią.

Szatrow ujrzał rozbite czołgi. Na wpół osłonięte chwastami, mrocznie garbiły się ponad kwitnącą łąką, a strumienie czerwonej rdzy zdawały się spływać z rozwalonego opancerzenia czołgów, o podniesionych lub opuszczonych lufach armat. Na prawo, w niewielkim zagłębieniu, czerniły się trzy maszyny skupione blisko siebie — spalone i nieruchome. Niemieckie działa patrzyły wprost na Szatrowa, jak gdyby bezsilna wściekłość zmuszała je jeszcze teraz porywać się na białe i świeże brzoźki na skraju lasu.

Dalej, na niewielkim pagórku, jeden czołg stanął jak gdyby dęba ponad inną, leżącą na boku maszyną. Poza krzakami wierzbowki widoczna była tylko część wieży z brudnym białawym krzyżem. Z lewej strony szeroka plamista szaro-ruda masa „Ferdynanda” pochylała ku dołowi długą lufę działa, którego koniec ginął w gęstwinie traw.

Żadna ścieżka nie przecinała kwitnącego pola, w gęstych zaroślach chwastów nie widać było śladów człowieka ani zwierzęcia. Tylko gdzieś u góry przeraźliwie

krzyczała przelękniona sójka, a z oddali dochodził szum traktora.

Major wdrapał się na przewrócone drzewo i długo stał nieruchomo. Milczeli także dwaj przewodnicy i szofer majora — oddając hołd poległym tutaj radzieckim ludziom.

Szatrow mimo woli przypomniawszy sobie pełen uroczystego smutku łaciński napis, który mieścił się zazwyczaj nad wejściem do sal anatomicznych: „*Hic locus est, ubi mors gaudet succurrere vitam*“, co oznacza w tłumaczeniu: „Jest to miejsce, gdzie raduje się śmierć, pomagając życiu“.

Do majora zbliżył się małego wzrostu sierżant — dowódca grupy saperów.

Był wesoły, co wydało się profesorowi niewłaściwe.

— Czy można zaczynać, towarzyszu majorze? — dźwięcznym głosem zapytał sierżant. — Skąd zaczynamy?

— Stąd. — Major wskazał ręką krzak głogu. — Kierunek dokładnie do tamtej brzoźki.

Sierżant i czterech przybyłych z nim żołnierzy przystąpiło do usuwania min.

— Gdzie tu jest czołg Wiktora? — cicho zapytał Szatrow. — Widzę tylko niemieckie...

— Proszę spojrzeć tu — major wskazał ręką na lewo wzdłuż tej grupy osik. Czy widzicie tę brzożkę na pagórku? Tak? A na prawo od niej — czołg!

Szatrow spojrzał uważnie. Nieduża, cudem ocalała brzożka stała na polu bitwy, a delikatne jej listki drżały lekko na wietrze. W odległości dwóch metrów, pośród chwastów wznosił się stos pogiętego metalu, podobnego z daleka do czerwonej, upstrzonej czarnymi cieniami plamy.

— Czy widzicie? — zapytał major i w odpowiedzi na twierdzący gest profesora dodał: — A jeszcze bardziej na lewo, nieco z przodu — stoi mój czołg. Ten oto, czarno-czerwony, spalony. Tamtego dnia ja...

Major niespodziewanie zamilkł i Szatrow nie doczekał się końca zdania.

— Gotowe! Zbliżył się do nich sierżant, który już zakończył robotę.

Profesor i major skierowali się do zamierzonego celu. Czołg wydawał się Szatrowowi podobny do olbrzymiej zmasakrowanej czaszki, ziejącej czarnymi dziurami wielkich szczerb od pocisków. Opancerzenie pogięte, zaokrąglono i stopione, czerwieniło się krwawymi plamami rdzy.

Przy pomocy szofera major wszedł na potrzaskaną maszynę i wcisnąwszy głowę do otwartego wjazdu, długo coś wewnątrz oglądał. Szatrow wdrapał się w ślad za nim i stanął na rozbitym pancerzu czołgu, naprzeciw majora. Ten wy dostał wreszcie głowę z otworu, zmrużył oczy i powiedział ponuro:

— Nie macie po co fatygować się. Proszę zaczekać, aż my z sierżantem

wszystko obejrzymy. Jeśli niczego nie znajdziemy — to poprosimy was do wnętrza, abyście sami sprawdzili.

Zręczny sierżant szybko wskoczył do maszyny i pomógł wejść majorowi. W czołgu powietrze było duszne, przepojone stęchlizną i słabym zapachem smarów. Major zapalił latarkę, chociaż światło przez szczeliny wpadało do wnętrza czołgu. Stał pochylony, starając się w chaosie powyginanych metalowych części wyobrazić sobie, co zostało całkowicie zniszczone. Major próbował przedstawić sobie, że jest na miejscu dowódcy czołgu, który zmuszony jest ukryć w nim jakąś cenną rzecz: zaczął więc dokładnie oglądać wszystkie schowki, przegródki i zakątki. Sierżant przedostał się do oddziału, gdzie mieścił się motor czołgu, i długo kręcił się tam i stękał,

Szatrow zaś pozostał na zewnątrz. Pod nogami jego na pancerzu czołgu skrzypiał piasek.

Bezowocne poszukiwania już zmęczyły majora, gdy nagle spostrzegł na ocalałym siedzeniu, wsunięty za poduszki koło ścianki, mapnik. Szybko go wyciągnął. Skóra zbielała i wzdęła się, ale pozostała nieuszkodzona: poprzez mętną celuloidową powłokę widać było spleśniałą mapę. Major spochmurniał przewidując zawód i z wysiłkiem odpiął zardzewiałe zatrzaski. Pod złożoną kilkakrotnie mapą znalazł szary zeszyt w twardej oprawie.

— Tak, tak! — nie mógł po wstrzymać się major.

— Czy znaleźliście? — troskliwie zapytał pochylony nad włazem Szatrow.

— Znaleźliśmy coś, proszę spojrzeć — i major podał przez otwór mapnik.

Szatrow szybko wyciągnął zeszyt, ostrożnie otworzył zlepione arkusze, ujrzał pośrodku kolumny cyfr, zapisane charakterem pisma Wiktora, i krzyknął z radości.

Major wylazł z czołgu.

Lekki wietrzyk przyniósł miodowy zapach kwiatów. Smukła brzoźka szeleszcząc pochylała się nad czołgiem, jak gdyby w jakimś niepokieszonym smutku. Wysoko płynęły białe obłoki, a z oddali słychać było senny i miarowy krzyk kukułki.

*

* *

Szatrow nie spostrzegł, jak cicho otwarły się drzwi i weszła jego żona. Dobrymi błękitnymi oczami spojrzała z trwogą na męża, który w zamyśleniu opuścił ręce na klawisze.

— Czy będziemy jedli obiad, Aliosza?

Szatrow zamknął fisharmonię.

— Znów coś planujesz, przyznaj się? — cicho zapytała żona wydobywając z kredensu talerze.

— Pojutrze jadę do obserwatorium na dwa, trzy dni.

— Nie poznaję cię, Liosza. Jesteś przecież domatorem, całymi miesiącami widzę, jak siedzisz nie rozprostowując pleców, pochylony nad biurkiem, a tu nagle... Co się z tobą stało? Upatruję w tym wpływ...

— Oczywiście Dawydowa!?! — zaśmiał się Szatrow. — Daję ci słowo, Oleńko, że on nawet o niczym nie wie. Wszak nie widzieliśmy się od czterdziestego pierwszego roku.

— Ale przecież pisujecie do siebie co tydzień.

— To przesada., Oleńko. Dawydow jest obecnie w Ameryce na zjeździe geologów... Zresztą dobrze, żeś mi przypomniała — powinien w tym tygodniu wrócić. Dziś napiszę do niego.

*

* *

Widocznie jestem zmęczony... I starzeję się... Głowa siwa, łysa i głupia — mrucał Szatrow do siebie każdego dnia, przeglądając papiery lub zabierając się do pisania.

Już od dawna odczuwał jakąś apatię. Pajęczyna jednostajnych, codziennych zajęć utkana w ciągu wielu lat mocno spowijała mózg. Nie odczuwał polotu myśli, która unosi się wzwyż rozpościerając swoje potężne skrzydła. Podobna do obciążonego ciężkim ładunkiem konia, posuwała się powoli, pewnie i ponuro. Szatrow zrozumiał, że stan ten spowodowany jest zmęczeniem. Przyjaciele i koledzy dawno już radzili mu zażyć odpoczynku i rozrywki. Ale profesor nie umiał ani odpoczywać, ani interesować się ubocznymi wprawami.

— Zostawcie mnie w spokoju! Wszak nie byłem już w teatrze przez dwadzieścia lat, a na lotnisku nie mieszkałem nigdy w życiu — mówił posepnie do swoich przyjaciół.

Jednakże uczonego rozumiał, że za swoje długie wyrzeczenia, za umyślne zwięzanie kręgu zainteresowań — płaci upadkiem sił i śmiałości myśli. Samoograniczenie, dając możliwość większej koncentracji, zamykało go jak gdyby w ciemnym pokoju, oddzielając od różnorodnego i szerokiego świata. Tę niewolę rutyny należało rozerwać.

Szatrow udał się do obserwatorium Pułkowskiego, które zostało niedawno odbudowane po barbarzyńskim zniszczeniu dokonanym przez Niemców. W obserwatorium Szatrow doznał serdecznego i miłego przyjęcia. Sam dyrektor, członek akademii, Bielski, gościł profesora w jednym z pokoi swego niewielkiego domu.

Szatrow przyglądał się niezwykleму rozkładowi życia pracowników obserwatorium, którzy po nocnych obserwacjach rozpoczynali późno pracę.

Trzeciego dnia po przyjeździe Szatrowa zwolnił się jeden z najpotężniejszych teleskopów, a noc sprzyjała obserwacjom. Bielski zaofiarował się towarzyszyć profesorowi w te niebiańskie krainy, o których wspominał Wiktor w swoich rękopisach. Pomieszczenie, w którym znajdował się teleskop, przypominało raczej dział jakiejś wielkiej fabryki aniżeli laboratorium naukowe. Szatrow mało znał się na technice i skomplikowane metalowe konstrukcje były dla niego mało zrozumiałe; pomyślał sobie, że jego przyjaciel Dawydow, amator wszelkich maszyn, potrafiłby lepiej ocenić to, co on w tej chwili oglądał. W tej okrągłej wieży było mnóstwo tablic rozdzielczych z elektrycznymi przyrządami. Pomocnik Bielskiego wprawnie i zręcznie manipulował różnymi wyłącznikami i guziczkami. W oddali głucho zawarczały ogromne motory elektryczne, wieża obróciła się i masywny teleskop, podobny do działła o ażurowych ściankach, pochylił się niżej ku horyzontowi. Szum motorów ucichł, natomiast dało się słyszeć jakby ciche wycie — to pracowały mniejsze i bliżej położone silniki. Ruch teleskopu stał się prawie niewidoczny. Bielski zaprosił Szatrowa, by wszedł na górę po lekkiej drabince z duralu. Szatrow zdziwił się, gdy ujrzał na platformie wygodny, przymocowany do podłogi fotel, dostatecznie szeroki, by pomieścić obydwóch uczonych. Obok stał stolik z przyrządami. Bielski pociągnął ku sobie jakąś metalową sztabę, zaopatrzoną na końcach w dwoje binokularów, podobnych do tych, jakich używał w swoim laboratorium Szatrow.

— Jest to przyrząd do jednoczesnej podwójnej obserwacji — wyjaśnił Bielski.
— Obydwaj będziemy patrzyli na ten sam obraz, jaki zarysowuje się w teleskopie.

— Znam to, gdyż takie same przyrządy stosujemy w biologii — odpowiedział Szatrow.

W głębi duszy jednak profesor dziwił się, gdyż obserwatorium astronomiczne wyobrażał sobie jako ciemną wieżę, gdzie astronom skurczony pod teleskopem, w ciszy nocnej spogląda jednym okiem na gwiazdy. Tutaj zaś wieża, choć słabo — lecz była oświetlona, jedynie platforma, na której znajdowali się w tej chwili, przyciemniona była wielkim ekranem. Obserwujący siedział nie na dole, ale na górze, w bardzo wygodnym fotelu: przed nim znajdował się przyrząd, który przywykł widzieć na stołach laboratoryjnych. Doprawdy można było pomyśleć, że znajdują się w gabinecie, nie zaś przy teleskopie w wieży astronomicznej...

Jak gdyby zgadując jego myśli, Bielski powiedział :

— Obecnie mało korzystamy z obserwacji wizualnych, oko męczy się bardzo

szybko, jest mało wrażliwe i nie zachowuje w pamięci rzeczy widzianych. Współczesna praca astronomiczna opiera się całkowicie na zdjęciach fotograficznych dotyczy to zwłaszcza tego działu astronomii, który zajmuje się badaniem gwiazd, a który was interesuje. Oko potrzebne jest, gdy chodzi o wybór obiektu do zdjęcia, ale i to nie zawsze...

— A więc chcielibyście popatrzeć na jakąś gwiazdę? Proszę, oto jest ładna podwójna gwiazda — błękitna i żółta — w konstelacji Herkulesa. Należy regulować podług swego wzroku. Zresztą proszę zaczekać. Najlepiej będzie, jeśli wyłączę światło całkowicie, niech się wzrok przyzwyczai...

Szatrow przylgął do obiektywów binokularu, przy czym wprawnie i szybko uregulował śruby. W samym środku czarnego pola widzenia jasno błyszcząły dwie, bardzo blisko siebie położone gwiazdy.

Szatrow od razu zrozumiał, że teleskop zupełnie nie zwiększa gwiazd, tak jak zwiększa planety lub księżyc, gdyż odległości, jakie je dzielą od Ziemi, są tak wielkie, że teleskop nie jest po prostu w stanie ich powiększyć. Teleskop czyni gwiazdy bardziej wyrazistymi, jasnymi, gdyż zbiera i koncentruje promienie. Dlatego przez teleskop widoczne są miliony słabych gwiazd, niedostępnych dla nieuzbrojonego oka.

Przed Szatrowem, wśród głębokiej czerni, płonęły dwa małe, jasne ogniki pięknego błękitnego i żółtego koloru, bez porównania piękniejsze od najcudowniejszych drogocennych kamieni. Te małe błyszczące punkciki sprawiały wrażenie — które trudno było z czymkolwiek porównać — najczystszej światła i nadzwyczajnego oddalenia; były pograżone w najgłębszą otchłań ciemności, przebitą ich promieniami.

Szatrow długo nie mógł oderwać wzroku od tych ogni dalekich światów, ale wygodnie wyciągnięty w fotelu Bielski przynaglił go:

— Będziemy kontynuowali nasz przegląd. Nieprędko nadarzy się znów taka cudowna noc, a poza tym teleskop może być zajęty. Chcielibyście obejrzyć centrum naszego wszechświata, oś, dookoła której obraca się „gwiazdziste koło“ naszej Galaktyki? *²

Znowu zawyły motory. Szatrow odczuł ruch platformy. W szklach binokularu powstał rój mętnych ogników. Bielski niezupełnie zatrzymał ruch teleskopu.

² * Galaktyka — gigantyczny system gwiazdny (tzw. Droga Mleczna), w którym nasze Słońce zajmuje miejsce zwykłej gwiazdy. Słońce okrąża dynamiczne centrum Galaktyki opisując orbitę, którą przebiega mniej więcej w okresie 220 milionów lat.

Ogromna maszyna poruszała się niedostrzegalnie i bezdźwięcznie, a przed spojrzeniem Szatrowa przepływały odcinki Drogi Mlecznej w okolicy konstelacji Strzelca i Wężownika.

Krótkie wyjaśnienia Bielskiego pomagały Szatrowowi szybko orientować się i rozumieć to, co widział.

Przyćmionym blaskiem świecąca gwiazdna mgła Drogi Mlecznej rozsypała się niezliczonymi rojami ogników. Roje te zgęszczały się i tworzyły ogromny wydłużony obłok, przecięty dwiema ciemnymi pręgami. Dookoła jasno płonęły, jakby wyskakując z głębin przestrzeni, poszczególne, rzadkie, bliżej Ziemi położone gwiazdy.

Bielski zatrzymał teleskop i zastosował znaczniejsze powiększenie. Teraz w polu widzenia był prawie cały gwiazdny obłok — gęsta błyszcząca masa, w której nieuchwytnie były poszczególne gwiazdy. Dookoła roily się zgęszczając się i rzedząc miliony gwiazd. Na widok tej obfitości światów, które co do wielkości i siły światła nie ustępowały naszemu Słońcu, Szatrow odczuł jakieś smętne przygnębienie.

— W tym kierunku znajduje się środek naszej Galaktyki — wyjaśnił Bielski — w odległości trzydziestu pięciu tysięcy lat świetlnych ^{*3}. Sam punkt ten jest dla nas niewidoczny. Oto tu na prawo widnieje czarna, ogromnej wielkości plama — jest to masa ciemnej materii, która zasłania środek Galaktyki. Ale dookoła niego obracają się wszystkie gwiazdy naszego wszechświata, dookoła niego pędzi Słońce z szybkością prawie trzechset kilometrów na sekundę. Gdyby nie było tej ciemnej zasłony, Mleczna Droga byłaby o wiele jaśniejsza, a nasze nocne niebo wydawałoby się nie czarne lecz popielate... Jedziemy dalej...

Teleskop przesunął się.

Szatrow ujrzał czarne przerwy w rojach gwiazdnych ciągnące się na przestrzeni milionów kilometrów.

— To są obłoki ciemnego pyłu i materii składającej się z drobnych odłamków kosmicznych — wyjaśnił Bielski. — Pojedyncze gwiazdy przeświecają poprzez nie swymi pozafioletowymi i pozaczzerwonymi promieniami, jak to wykazały zdjęcia zrobione na specjalnych kliszach...

Szatrowa zdziwiła jeszcze jedna mgławica. Podobna była do kłębow świecącego dymu, poorana głębokimi czarnymi przepaściami, wisiała w przestrzeni, podobna do postrzępionego wichrem obłoku.

³ * Rok świetlny — jednostka długości w astronomii, która równa się ilości kilometrów, jakie przebiega promień świetlny w ciągu roku ($9,46 \times 10^{12}$ km, co oznacza prawie 10^{18} km).

Na górze z prawej strony skupiły się szare kłęby chmur, które ginęły tam, w bezdennych międzygwiazdnych przepaściach. Z trudem można było sobie wyobrazić ogromne rozmiary tego obłoku składającego się z pyłu kosmicznego, który odbijał światło dalekich gwiazd. W każdej z tych czarnych przepaści mógłby utonąć niepostrzeżenie cały nasz system słoneczny.

— A teraz zajrzyjmy poza granice naszej Galaktyki — powiedział Bielski.

W polu widzenia Szatrowa powstał głęboki mrok. Prawie nieuchwytne, jasne punkty, tak słabe, że blask ich zamierał w oku, nie wywołując prawie wrażeń wzrokowych, rzadko spotykały się w niezmierzonej głębokości.

— To właśnie odróżnia naszą Galaktykę od innych, podobnych do niej gwiazdnych wysp. To co widać tutaj — to nie gwiazdy, lecz mgławice, całe gwiazdne światy, niesłychanie od nas oddalone. Tutaj, gdy popatrzeć w kierunku konstelacji Pegaza, otwierają się przed nami najgłębsze znane nam części przestrzeni. Zaraz przyjrzymy się jednej z najbliższych Galaktyk, która pod względem wielkości i kształtu podobna jest do naszego olbrzymiego systemu gwiazdowego. Galaktyka ta składa się z miliardów poszczególnych, różnej wielkości gwiazd o różnym blasku, posiada również takie same smugi ciemnej materii, które tak samo ścielą się w płaszczyźnie równikowej i jest tak samo okrążona kulistymi gromadami gwiazdowymi. Jest to tak zwana mgławica w konstelacji Andromedy. Jest ukośnie do nas pochylona, tak, że widzimy ją częściowo z boku, częściowo z płaszczyzny.

Szatrow ujrzał blade świecący obłok w formie podłużnego owalu. Przyglądając się mógł dojrzeć świecące smugi, umieszczone spiralnie i rozdzielone czarnymi przestrzeniami.

W środku mgławicy widać było zwartą, świecącą masę, widocznie bardziej zgęszczone skupienia gwiazdne, które na olbrzymiej przestrzeni zlewały się w jedną całość. Od niej rozchodziły się ledwie dostrzegalne, spiralnie zagięte odgałęzienia. Dookoła tej zwartej masy, oddzielone ciemnymi pierścieniami widniały bardziej rozrzedzone i nikłe pasma, a na samym skraju, zwłaszcza na skraju dolnego pola widzenia, pierścieniowe pasma rozpadały się w szereg okrągłych plamek.

— Proszę popatrzeć tutaj! — Dla was jako paleontologa, powinno to być szczególnie ciekawe. Światło, które wpada teraz do waszych oczu, wyszło z tej Galaktyki przed milionem lat. Wtedy na ziemi nie było jeszcze człowieka!

— I to jest jedna z najbliższych położonych Galaktyk! — przelął się Szatrow.

— Oczywiście, znamy już takie, które położone w odległości pięciuset milionów lat świetlnych.

Prawie pięćset milionów lat biegnie światło z szybkością dziesięciu bilionów kilometrów rocznie. Widzieliście takie Galaktyki z konstelacją Pegaza...

— To niemożliwe! Nie podobna sobie wyobrazić podobnych przestrzeni. Nie-skończone, niezmierzone głębiny.

Bielski z lekka uderzył palcami.

— My astronomowie, z większą pewnością orientujemy się w przestrzeni, chociaż wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy. Ale, oto proszę spojrzeć... Nasz teleskop skierowany jest na mgławicę Andromedy. Niedaleko znajduje się konstelacja Trójkąta — tutaj z lewej strony i niżej ku horyzontowi. Można w niej dostrzec ładną i dobrze widzialną mgławicę „M. 33” — jest to najbliższa Galaktyka. Jeśli zaś odwrócimy teleskop dokładnie w odwrotną stronę, w kierunku Wielkiej Niedźwiedzicy i ku Gończym Psom, to ujrzymy dwie bardzo słabe i dalekie Galaktyki, które dokładnie odpowiadają położeniu Galaktyk Andromedy i „M. 33”.

Jeszcze bardzo długo pokazywał Bielski profesorowi gwiazdziste niebo. Wreszcie Szatrow gorąco podziękował swemu Wergiliuszowi ^{*4} po niebieskich przestworzach, wrócił do swego pokoju, położył się do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć.

Przed zamkniętymi oczami roily się tysiące gwiazd. Płynęły olbrzymie obłoki skupisk gwiazdnych, czarne zasłony zimnej materii, gigantyczne płaty świecącego gazu.

I wszystko to znajduje się na przestrzeni bilionów i trylionów kilometrów, rozsiane w przeraźliwej pustce, rozdzielone przestrzeniami, których nie można sobie wyobrazić, w najzupełniejszym mroku, poprzez który pędzą tylko strumienie śmiertcionośnych promieniowań.

Gwiazdy, ogromne zwały materii, stłoczone siłą przyciągania, rozwijające pod wpływem nadzwyczajnego ciśnienia wysoką temperaturę. Na skutek wysokiej temperatury zaczynają działać łańcuchowe reakcje atomowe^{*5} które powiększają wydzielanie energii. Ażeby gwiazdy te mogły istnieć, nie wybuchać i znajdować się w równowadze, energia ta powinna być wyrzucona w przestrzeń w kolosalnych ilościach w postaci ciepła, światła i promieni kosmicznych...^{*6} I dookoła tych gwiazd, jak gdyby dookoła stacyj centralnych pracujących na energii

⁴ * Wergiliusz — słynny poeta rzymski, autor „Eneidy”. Włoski poeta Dante w swoim utworze pt. „Boska Komedia” przedstawił Wergiliusza jako swego przewodnika po świecie pozagrobowym.

⁵ * Łańcuchów reakcja atomowa — reakcja, która samodzielnie rozwija się w substancjach, bez stałego zewnętrznego oddziaływania, jedynie na skutek początkowego bodźca.

⁶ * Promienie kosmiczne — jest to potężne promieniowanie, które pada na Ziemię z

atomowej, obiegają ogrzewane przez nie planety.

I w przeraźliwych głębinach przestrzeni mkną, wraz z miliardami pojedynczych gwiazd i ciemną ostygniętą materią, te systemy planetarne stanowią ogromny, podobny do koła system — Galaktykę. Czasem gwiazdy zbliżają się i znów rozchodzą na miliardy lat, niby okręty Galaktyki. A w jeszcze większej przestrzeni, poszczególne Galaktyki podobne są do jeszcze większych okrętów, przyświecające sobie wzajemnie w niezmiernym oceanie mroku i chłodu, który trudno sobie wyobrazić.

Uczucie podobne do przerażenia opanowało Szatrowa, kiedy wyraźnie i jasno wyobraził sobie wszechświat z jego beznadziejnym śmiertelnym chłodem próżni, z rzadko rozrzuconymi w niej, niemniej śmiercionośnymi masami materii rozżarzonej do niemożliwych, dla naszej wyobraźni, temperatur. Wyobraźmy sobie odległości niedostępne dla jakichkolwiek sił, niesłychaną powolność odbywających się procesów, w których pyłki podobne do Ziemi mają zupełnie znikome znaczenie.

Jednocześnie pełen dumy zachwyt wobec rozumu człowieka przesłaniał straszliwy obraz gwiazdnego wszechświata. Życie szybko przemijające — o tyle kruche, że może istnieć tylko na planetach podobnych do Ziemi — płonie maleńkimi ognikami gdzieś w czarnych i martwych głębinach przestrzeni.

Cała siła i trwałość życia zawarta jest w jego skomplikowanej organizacji, którą zaledwie zaczęliśmy rozumieć, organizacji zdobytej w ciągu milionów lat historycznego rozwoju, w walce wewnętrznych przeciwieństw, poprzez niekończącą się zmianę przestarzałych form na nowe i bardziej doskonałe.

W tym jest siła życia, jego przewaga nad materią nieżywą, bezwładnie biorącą udział w procesach kosmicznych, a niepodlegającą, komplikacjom i udoskonaleniom. Jednakże pomimo groźnej wrogości sił kosmicznych życie trwa nadal, rozwija się i wreszcie rodzi myśl, która opanowuje siły przyrody, analizuje jej prawa, z pomocą których zwycięża przyrodę.

U nas na Ziemi i tam w głębinach przestrzeni rozkwita życie — potężne źródło myśli i woli. Źródło to w następstwie zamieni się w potok, który szeroko rozleje się po wszechświecie. Potok, który połączy oddzielne rzeczki w jeden potężny ocean myśli. Rękojmią tego jest odkrycie zamknięte w pudełku Tao-Li.

I Szarów zrozumiał, że wrażenia, jakich doznał tej nocy, obudziły na nowo siłę jego twórczej myśli, która zdawała się zasypiać.

przestrzeni wszechświata, zostaje jednakże wstrzymane przez górne warstwy atmosfery. Atomowe procesy, na skutek których powstaje tak potężne promieniowanie, są na razie nieznanne.

Będzie działał nadal, nie obawiając się nowych odkryć, bez względu na to co przyniosą.

*

* *

Starszy pomocnik kapitana okrętu „Witim“ niedbale oparł się o połyskujące w promieniach słońca poręcz. Duży okręt zdawał się spać na miarowo kołyszącej się zielonej fali, okrążony powoli biegnącymi odblaskami światła. Obok angielski okręt o wysokim dziobie puszczał gęsty dym i leniwie kołysał dwoma białymi krzyżami masywnych masztów.

Południowy skraj zatoki, prawie równy i czarny od głębokich cieni, kończył się ścianą czerwono-fioletowych gór, okrytych liliowymi cieniami. Oficer usłyszał na dole ciężkie kroki i ujrzał na schodkach mostku masywną głowę i szerokie ramiona profesora Dawydowa.

— Cóż tak wcześnie, Ilja Andrejewiczu ? — przywitał uczonego.

Dawydow zmrużył oczy i milcząc spojrział na uśmiechającego się starszego pomocnika.

— Pragnę pożegnać się z Hawajami. — Dobre miejsce, przyjemne miejsce... Czy prędko odjeżdżamy?

— Kapitana nie ma — załatwia formalności na wybrzeżu. Poza tym wszystko już gotowe. Jak kapitan wróci, natychmiast ruszymy. Prosto do domu!

Profesor kiwnął głową i zaczął po kieszeniach szukać papierosów. Rozkoszował się odpoczynkiem, dniami przymusowej bezczynności, które są tak rzadkie w życiu prawdziwego uczonego. Dawydow wracał z San-Francisko, dokąd jeździł w charakterze delegata na zjazd geologów i paleontologów — badaczy przeszłości naszej Ziemi.

Uczony pragnął odbyć drogę powrotną na radzieckim okręcie, i „Witim“ nadarzył się w odpowiedniej chwili. Jeszcze przyjemniejszy był dla uczonego postój na wyspach Hawajskich, gdzie Dawydow zapoznał się z przyrodą tego kraju okrążonego ze wszystkich stron ogromnymi przestrzeniami Oceanu Spokojnego. I obecnie, rozglądając się dookoła, odczuwał wielką radość na myśl, że wraca do ojczyzny. Dużo ciekawych pomysłów powstało w jego umyśle, domagając się natarczywie ujawnienia — sprawdzenia, porównań, dalszego rozwoju. Ale tego nie można było uczynić tutaj, w kabinie okrętowej nie było pod ręką potrzebnych notatek, książek, zbiorów...

Dawydow pocierał palcami skronie, co było u niego oznaką niezadowolenia.

Na prawo od wystającego zakrętu betonowej bariery rozpoczynała się niespo-

dziewanie szeroka aleja palmowa; gęste, pierzaste korony palm połyskiwały jaśnym brązem, zasłaniając ładne białe domy z kolorowymi kwietnikami. Dalej, tam gdzie brzeg głęboko wcinał się w zatokę i zieleń młodych drzew — kołysała się lekko na wodzie błękitna łódka w czarne pasy. Młodzieńcy i dziewczęta w łódce podstawiali pod promienie porannego słońca swoje opalone zgrabne ciała, głośno śmiejąc się przed kąpielą.

W przezroczystym powietrzu oczy profesora, który był dalekowidzem, odróżniały wszystkie szczegóły bliskiego brzegu. Dawydow zwrócił uwagę na okrągły klomb, pośrodku którego wznosiła się dziwna roślina. U dołu, jak gęsta szczotka, sterczały srebrne, podobne do noży liście. Ponad liśćmi, prawie na wysokości wzrostu człowieka, wznosiła się w formie wrzeciona kiść czerwonych kwiatów.

— Czy nie wiecie, co to za roślina? — zapytał starszego pomocnika zainteresowany profesor.

— Nie wiem — wesoło odpowiedział młody marynarz. — Widziałem ją, owszem, słyszałem, że jest uważana za bardzo rzadki okaz... A proszę mi powiedzieć, Ilja Andrejewiczu, czy to prawda, że w młodości byliście marynarzem?

Niezadowolony ze zmiany tematu, profesor nachmurzył się.

— Owszem, byłem. Ale jakie to ma dzisiaj znaczenie? — burknął. — Lepiej byście...

Gdzieś za budynkami, z lewej strony zawyła syrena i dźwięk ten głośno rozległ się nad cichą wodą.

Starszy pomocnik od razu zaczął się przysłuchiwać. Dawydow rozglądał się ze zdziwieniem.

Wszędzie, nad miastem i zatoką, otwartą szeroko ku błękitnej dali oceanu, panował spokój poranka. Profesor skierował spojrzenie na łódkę z kąpiącymi się.

Śniada dziewczyna, widocznie tuziemka, wyprostowała się, stojąc na dziobie łódki, uprzejmie powitała rosyjskich marynarzy wysoko podniesioną ręką i skoczyła do wody. Czerwone kwiaty jej kąpielowego stroju przełamały szklistą powierzchnię wody i zniknęły w głębinie. Lekka motorówka szybko popłynęła do portu. Po chwili na przystani ukazało się auto, z którego wyskoczył kapitan „Witima“ i pędem pobiegł na okręt; natychmiast podniosły się szeregiem chorągiewki i zadrżały na maszcie sygnałowym. Kapitan bez tchu wskoczył na mostek, ścierając z twarzy pot rękawem śnieżnobiałego munduru...

— Co się stało? — zawołał starszy pomocnik. — Nie rozpoznaję sygnału.

— Alarm — wrzasnął kapitan. — Alarm! — i chwycił rączkę aparatu telegraficznego. — Czy maszyna gotowa?

Kapitan pochylił się nad tubą i wydając rozkazy rzucił szereg oderwanych

zdań:

— Wszystkich na górę! Zamknąć okienka! Oczyszczyć pokład! Podnieść liny!

— *Russians, what shell you do ?* *⁷ — nagle trwożenie zaryczał megafon stojącego obok okrętu.

— *Go ahead* *⁸ — natychmiast odpowiedział kapitan „Witima”.

— *Well! At full speed;* *⁹— z większą już pewnością zawołał Anglik.

Głucho plusnęła woda pod rufą, kadłub „Witima“ drgnął, przystań powoli odpłynęła w prawo. Trwożliwa bieranina po pokładzie niepokoiła Dawydowa. Rzucił kilkakrotnie pytające spojrzenia na kapitana, ale ten, pochłonięty manewrowaniem okrętu, zdawał się niczego wokół nie dostrzegać.

Morze zaś nadal pluskało się spokojnie i miarowo, i nie widać było ani jednego obłoczka na rozżarzonem i czystym niebie.

„Witim“ odwrócił się i nabierając pędu ruszył wprost na spotkanie olbrzymich przestrzeni oceanu.

Kapitan odetchnął i wyjął z kieszeni chustkę. Byстрыm spojrzeniem obrzucił pokład i zrozumiał, że wszyscy żądają od niego wyjaśnień.

— Z północo-wschodu przyływa gigantyczna fala. Przypuszczam, że jedynym ratunkiem okrętu jest spotkać ją na pełnym morzu, gdy maszyny będą w pełnym biegu... Jak najdalej od brzegu!

Kapitan obrócił się do oddalającej się przystani, jakby oceniając przestrzeń.

Starszy pomocnik, który momentalnie znikł z mostku celem wykonania pracy na pokładzie, teraz znów powrócił, czerwony i podniecony.

Dawydow spojrzał przed siebie i ujrzał rząd olbrzymich fal, które z szaloną szybkością niosły się ku ziemi. A za nimi, jak główne siły za przednimi oddziałami, ścierając błękitny blask dalekiego morza, ciężko pędził szary, płaski grzbiet gigantycznego bałwanu.

— Załoga, ukryć się na dole! — rozkazał kapitan, gwałtownie ujmując rączkę telegrafu.

Przednie fale zbliżając się do brzegu rosły i piętrzyły się.

„Witim“ raptownie poruszył dziobem, wzniosł się do góry i dał nura wprost pod grzebień następnej fali. Miękkie, ciężkie uderzenie odbiło się o poręcze mostka, których mocno trzymał się Dawydow. Pokład znalazł się cały pod wodą, otok błyszczących kropelek morskich kurzawą podniósł się nad mostkiem. Po sekundzie „Witim“ wynurzył się, a dziób jego znów wzniosł się do góry. Potężne

⁷ * Rosjanie, co zamierzacie uczynić?

⁸ * Iść na spotkanie !

⁹ * Słusznie ! Całą parą!

maszyny drgały gdzieś daleko na dole, rozpaczliwie przewyciężając i sprzeciwiając się naporowi fal, które zatrzymywały okręt goniąc go do brzegu, jakby pragnęły go rozbić o twardą pierś ziemi.

Ani jedna plama piany nie bielila się na zboczu olbrzymiego bałwanu, który podnosił się z wściekłym rykiem i stawał coraz bardziej stromy. Matowy blask ściany wodnej, która nadchodziła nieprzenikliwa i masywna, przypomniiał Dawydowi stromość bazaltowych skał nad brzegiem morza.

Ciężka jak bazalt fala podnosiła się wciąż wyżej i wyżej, zasłaniając niebo i słońce, jej zaostrozający się wierzchołek wypłynął ponad przedni maszt „Witima”. Złowrogi mrok zgęszczał się u stóp wodnej góry, w czarnej głębokiej jamie, dokąd ześlizgiwał się okręt, pochylając się jak gdyby z pokorą, aby przyjąć śmiertelny cios.

Ludzie na mostku mimo woli opuścili głowy w obliczu żywiołu, który mógł w każdej chwili spaść na nich. Okręt kurczowo szarpnął się, brutalnie wstrzymany w swoim pędzie naprzód do oceanu. Sześć tysięcy koni parowych, które obracały pod pokładem śruby — zastało pokonanych przez przewyższającą je wielokrotnie siłę.

Pierwsze uderzenie przycisnęło ludzi do poręczy i natychmiast woda z rykiem opadła na mostek skądś z góry, ogłuszając i oślepiając wszystkich. Chwyając się ostatnimi siłami poręczy, na wpół żywy profesor odczuł całym ciałem, jak zgrzytnął kadłub okrętu, jak pochylił się na lewy, potem na prawy bok, wreszcie wyprostował się, wstając z głębiny, która go pochłonęła. Powoli — powoli okręt podnosił się do góry i nagle szybko uniósł się z szarego kłębowiska ku kolorowemu beztroskiemu niebu.

Oszalamiający ryk ustał nagle z przeraźliwą raptownością. Z grzebienia olbrzymiej fali szeroko rozpostarło się morze i okręt płynnie pomknął w dół na grzbiecie oddalającego się ku brzegowi bałwanu. Nowe zastępy fal szły już na spotkanie od morza, ale w porównaniu ze zwyciężonym potworem nie wydawały się już straszne. Kapitan głośno odsapnął i kichnął z zadowoleniem. Dawydow, przemoczony do nitki, przetarłszy oczy, ujrzał z prawej strony szybko zanurzający się w wodę angielski okręt i, jak gdyby coś sobie przypomniiał, pomknął na koniec mostka, choć mokre ubranie krępowało mu swobodę ruchów. Stamtąd widać było doskonale niedawno pozostawione miasto i przystań. Z przerażeniem spoglądał uczony, jak gigantyczny bałwan wyrósł u samego brzegu, jak ściana ruchomej wody zasłoniła zieleń ogrodów i białe domki miasta oraz proste, wyrażne za- rysy przystani...

— Drugi! Drugi! — głośno wrzasnął starszy pomocnik tuż nad uchem Dawydowa.

Rzeczywiście, drugi olbrzymi bałwan walił prosto na okręt. Nie zauważono jego zbliżenia się, jak gdyby ogromna fala tajemnie podkradła się i nagle podniosła z dna oceanu.

Z ochrypłym wyciem wznosił się ten zaokrąglony wodny grzbiet rycząc i wydławując nagromadzoną w nim wściekłość.

I znów okręt zaczął się miotać kurczowo pod ciężarem potwornej fali, walcząc zawzięcie o swoje istnienie. Pala prześlizgnęła się za rufę, szereg towarzyszących jej mniejszych fal stanął przed „Witimem“. Dwie — trzy minuty odpoczynku — i trzecia olbrzymia fala podniosła się z morza. Tym razem maszyny, posłuszne nadanym przez telegraf rozkazom kapitana, w odpowiednim momencie poddały się w tył, uderzenie było już słabsze i okręt z większą łatwością podniósł się na grzbiet fali. Ta walka z tajemniczymi falami przy dziwnej nieobecności wiatru i w jasny słoneczny dzień trwała około godziny. „Witim“, czysto umyty, z nielicznymi tylko uszkodzeniami, długo jeszcze kołysał się na równej toni, póki kapitan nie przekonał się, że niebezpieczeństwo minęło, i zawrócił okręt do portu.

Dopiero przed dwiema godzinami Dawydow zachwycał się z pokładu „Witima“ pięknym miasteczkiem. Teraz trudno było poznać ten brzeg. Zniknęły kolorowe kwietniki i równe aleje. Zamiast nich piętrzyły się stosy belek, części zniszczonych dachów: odłamki te zmieszane z gałęziami bez liści znaczyły miejsce, gdzie stały nadmorskie domy. Gęsty zagajnik, obok którego kąpała się rozbawiona młodzież, zmienił się w błoto, w którym tkwiło kilka rozszczepionych pni. Duże kamienne domy wzdłuż brzegu ponuro patrzyły czarnymi oczodołami wyrwanych okien. A u podnóża tych domów gromadziły się zwalone, rozbite przybrzeżne budki i sklepy. Na lewo, na asfalcie ulicy, rozrzucone były najróżniejsze sprzęty domowe.

Ogromny, wywrócony na bok rybacki kuter motorowy koronował cały ten stos rupieci, jak pomnik zwycięstwa groźnego morza.

Na warstwach świeżo naniesionego piasku wszędzie, we wszystkich kierunkach płynęły, połyskując w słońcu, kręte strumyki słonej wody. Wśród ruin kręciły się nędzne postaci ludzi, którzy szukali zaginionych lub ratowali resztki swego mienia.

Radzieccy marynarze stali wstrząśnięci. Milcząc skupili się na pokładzie i chmurnie patrzyli na brzeg, nie będąc w stanie cieszyć się z własnego ocalenia. Zaledwie „Witim“ zakotwiczył się na ocalałej betonowej przystani, a już kapitan

zwrócił się do załogi z apelem niesienia pomocy mieszkańcom; po chwili na okręcie nie pozostał ani jeden człowiek, prócz marynarzy odbywających wartę.

Dawydow razem z załogą wrócił na okręt późnym wieczorem, ponuro mył się, obandażował zranioną rękę i długo jeszcze chodził po pokładzie, ćmiąc papierosy.

*

* *

O oznaczonej godzinie profesor udał się na przednią część okrętu, gdzie miał odbyć się jego wykład. Zaledwie zniknęła za horyzontem spustoszona wyspa, a już u Dawydowa zjawiał się drugi mechanik, przewodniczący komitetu okrętowego, i prosił, aby profesor zechciał wyjaśnić załodze przyczyny tego, co zaszło. Profesor jeszcze nigdy nie wykladał w tak niezwykłym otoczeniu. Postanowiono, że pogadanka odbędzie się bezpośrednio na pokładzie. Słuchacze zebrali się tłumnie, siedząc, stojąc i leżąc obok pierwszej ładowni, Dawydow zaś opierał się o przykryty pokrowcem lewarek, który służył mu jako katedra. Ocean był beztrąsko spokojny i nie powstrzymywał pędu, dążącego do ojczyzny, okrętu.

Profesor opowiedział marynarzom o Oceanie Spokojnym — gigantycznym zagłębieniu na powierzchni Ziemi, wypełnionym największą na naszej planecie masą wody. Dookoła tego zagłębienia, niedaleko lądów, pierścieniem ciągną się łańcuchy olbrzymich fałdów skorupy ziemskiej, które powoli występują z dna największych zagłębień. Wszystkie łańcuchy wysp — Aleuckich, Japońskich, Sundajskich — stanowią właśnie owe tworzące się obecnie fałdy. Tworzenie się tych fałdów odbywa się stale: każdy fałd, którego wierzchołkiem jest jedna z wymienionych wysp — podnosi się wciąż wyżej, czasem z szybkością dwóch metrów rocznie, a jednocześnie wciąż bardziej pochyla się w stronę Oceanu.

— Wyobraźcie sobie — mówił dalej profesor — że wody Oceanu na chwilę odpłynęły w bok... Wtedy na miejscu wysp ujrzycie rzędy wysokich gór, pochylonych ku środkowi oceanu, które groźnie zwisają ponad zagłębieniami i podobne są do zastygłych fal. Pochyłość leżąca po przeciwległej stronie, a zwrócona do lądu, jest mniej stroma, ale także tworzy głęboką wklęsłość, zapełnioną morzem. Takie jest na przykład Morze Japońskie. Wzdłuż pochyłości odwróconych do lądu umiejscowiły się łańcuchy wulkanów. Ciśnienie wewnątrz fałdów jest tak duże, że topi skały znajdujące się w ich wnętrzu, które wydostają się poprzez szczeliny w postaci płynnej lawy. Zagłębienia ze strony Oceanu powiększają wciąż bardziej pod ciśnieniem podnóża fałdów i wzdłuż nich układają się ośrodki częstych, potężnych trzęsień Ziemi.

Jedno takie trzęsienie Ziemi było właśnie przyczyną wczorajszej katastrofy.

Gdzieś na północy, zapewne w aleuckiej otchłani, u podnóża aleuckich fałdów, pod silnym ciśnieniem tych fałdów obniżyła się jakaś część dna Oceanu, co spowodowało silne trzęsienie Ziemi pod wodą.

Jedno lub kilka potężnych uderzeń wywołało utworzenie się olbrzymiej fali, która popłynęła wzdłuż Oceanu na południe, na tysiące mil od miejsca, gdzie powstała, i po kilku godzinach dotarła do Wysp Hawajskich. Na otwartym Oceanie fala ta dla naszego „Witima“ przeszłaby niepostrzeżenie, gdyż długość tej fali wynosi około stu pięćdziesięciu kilometrów, tak że podniesienie się okrętu na całą jej wysokość nie dałoby się w żadnym wypadku odczuć. Ale inaczej wygląda sprawa w pobliżu lądu. Kiedy ta olbrzymia masa wody pędząc po oceanie napotyka przeszkodę, podnosi się, rośnie i opada na brzeg z trudną do pojęcia siłą. Ale o czym tu mówić — widzieliście wszyscy, co uczyniła fala. Dlatego też wygląd i charakter fali zależy od kształtu dna w pobliżu brzegu.

Fale takie od czasu do czasu powstają na Oceanie Spokojnym, dlatego że tu odbywają się procesy formowania fałdów skorupy ziemskiej... W ciągu ostatnich stu dwudziestu lat, Wyspy Hawajskie dwadzieścia sześć razy odczuły ataki napływających w ten sposób fal. Fale szły z różnych stron i od Wysp Aleuckich, jak właśnie ta nasza fala, od wysp Japońskich, z Kamczatki, z Filipin, z wysp Salomona, z Ameryki Południowej i nawet od strony Meksyku. Ostatnia fala napłynęła w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Średnią szybkość fal liczy się mniej więcej od trzystu do pięciuset węzłów...

Marynarze byli ogromnie zainteresowani i zadawali Dawydowowi wiele pytań, tak że rozmowa przeciągnęłaby się na kilka godzin, gdyby zmiana warty nie przeszkodziła zebrany. Profesor jeszcze przechadzał się na pokładzie, chmurząc czoło i krzywiąc usta uparczywie nad czymś rozmyślał.

Widok błyskawicznej zagłady pięknej wyspy pozostawił głęboki ślad w duszy uczonego. Prawie wszystkie pytania zadane mu przez marynarzy zbiegały się z kierunkiem jego własnych myśli. Należy wiedzieć nie tylko, w jaki sposób odbywa się na Oceanie Spokojnym tworzenie się fałdów, ale dlaczego proces taki powstaje. Jakie przyczyny tam, w głębi Ziemi, wywołują te powolne, olbrzymie ruchy, ściskające ogromne warstwy skał w fałdy i wypychające je wciąż wyżej na powierzchnię Ziemi? Jak nędznymi rozporządzamy wiadomościami, jeśli chodzi o głębię naszej planety, o procesy chemiczne i fizyczne, które dokonują się pod ciśnieniem milionów atmosfer, pod warstwami tysiąckilometrowej grubości o nieznanym składzie.

Wystarczy, by nastąpiły nieznaczne przegrupowania molekularne, drobne powiększenie objętości tych ogromnych mas, ażeby na cienkiej powłoce znanej nam

skorupy ziemskiej następowały ogromne przesunięcia, ażeby skorupa ta, zmiażdżona na kawałki, została podniesiona na dziesiątki kilometrów do góry. Jednakże wiemy, że zjawiska takie nie zdarzają się, co oznacza, że substancje, z których zbudowana jest nasza planeta, znajdują się w stanie spokoju i równowagi.

Tylko od czasu do czasu, co miliony lat, skały w łańcuchach górskich zostają rozmiękczone, zginają się w fałdy, częściowo zostają roztopione i wylewają się poprzez kratery wulkanów. A potem wszystko zmięte i zgniecione zostaje wyparte na powierzchnię w postaci ogromnego wału.

Działanie wody i atmosfery rozdrabnia taki wał na systemy dolin i grzbietów górskich, tworząc to, co nazywamy krajami górzystymi.

Najdziwniejsze jest to, że ogniska wulkaniczne oraz obszary, na których nastąpiło zgniecenie skał, znajdują się stosunkowo niegłęboko — wszystkiego kilkadziesiąt kilometrów od powierzchni ziemi, podczas gdy centralne części planety skryte są pod warstwą substancji o grubości trzech tysięcy kilometrów, a znajdującej się widocznie w stanie trwałego spokoju.

Dawydow zbliżył się do burty, jakby starając się w myśli przebić grubą warstwę oceanu i jego dno, ażeby odgadnąć, co dzieje się na głębokości sześćdziesięciu kilometrów.

Twarda, zastygła substancja naszej planety utworzona jest ze stałych, nierozpadających się pierwiastków chemicznych — tych dziewięćdziesięciu dwóch cegiełek, z których składa się wszechświat. Pierwiastki te tu na Ziemi są stałe i niezmiennie, w przeciwieństwie do gwiazd, na których odbywają się procesy przejścia pierwiastków od form niestałych do stałych, łańcuchowe reakcje atomowe, które wydzielają kolosalne ilości energii — ciepła, światła i innych niemniej potężnych promieniowań. A jeżeli nawet w ostygłej masie substancji Ziemi istnieją jeszcze jakieś niestałe pierwiastki — pozostałości po byłych procesach atomowych przeobrażeń tamtej epoki, kiedy nasza planeta była tylko jakimś zgęszczeniem rozżarzonej materii gwiazdnej? Pierwiastki te są rozproszone i dlatego bezczynne do czasu, aż w nieskończonych przesunięciach i przegrupowaniach materii utworzą się dość pokaźne skupiska ich o dużym ciężarze atomowym, jak uran, tor albo inne jeszcze, nieznanne nam, niestałe, łatwo rozpadające się pierwiastki.

Wówczas, jak to obecnie wiemy, mogą rozwijać się potężne łańcuchowe reakcje rozpadu, które wydzielają dużo energii, powodując tym samym przesuwanie się części skorupy ziemskiej.

Oznacza to, że nieznanne nam siły, powodujące ruchy skorupy ziemskiej, są następstwem nieskończone dawno zagasłych przeobrażeń atomowych, substancji gwiazdnej. A jeśli tak jest, jeśli tworzenie się gór na Ziemi spowodowane jest

głębinowymi reakcjami atomowymi, to mamy nadzieję opanowania w przyszłości tych ognisk reakcji atomowych. Należy ich szukać w podnoszących się pofałdowanych górach i wulkanicznych przestrzeniach, jak te na Oceanie Spokojnym... Możliwe, że w chwilach największego rozwoju głębinowych reakcji atomowych, przedostają się na powierzchnię potężne promieniowania, które pozwalają określić miejsce, gdzie zachodzi rozpad atomów.

Ale w takim wypadku w dawnych epokach geologicznych, promieniowania te mogły wywierać potężne działanie na żyjących mieszkańców planet w miejscach, gdzie zachodziło formowanie się fałdów i gór.

Dawidów przypomniał sobie gigantyczne skupienia kości wymarłych jaszczurów, których badaniem zajmował się w Azji środkowej; próżno próbował wtedy znaleźć właściwe wyjaśnienie przyczyny nagromadzenia szczątków milionów jaszczurów w tych samych miejscach.

Instynktem uczonego wyczuwał ważność swoich domysłów. Zatopiony całkowicie w rozmyślaniach, nie spostrzegł upływającego czasu, a gdy przypadkowo spojrzął na zegarek, zrozumiał, że spóźnił się na obiad, i zaklął siarczyście.

Rozdział II

Przybysze z gwiazd

Szatrow zatrzymał się przed drzwiami ze szklaną tabliczką: „Kierownik Oddziału, prof. I. A. Dawydow“, przełożył do drugiej ręki duże pudełko, chytrze się uśmiechnął i raptownie zapukał. Niski i mocny głos z niezadowoleniem wrzasnął: „Proszę!“ Szatrow wszedł do gabinetu, jak zwykle, bardzo szybko i lekko pochylony błysnął spod brwi oczyma.

— Cóż to! Kogo widzę! — zawołał wstając gospodarz gabinetu, który dotąd pracował nad jakimś rękopisem. — Nie spodziewałem się! Ileż to lat, drogi przyjacielu!

Szatrow postawił pudło na stole, przyjaciele objęli się i ucałowali. Szczupły, średniego wzrostu Szatrow wydawał się zupełnie drobny obok ogromnego Dawydowa; bardzo się od siebie różnili. Dawydow, wielkiego wzrostu i atletycznej budowy, wydawał się raczej powolny i dobroduszny w odróżnieniu od nerwowego, bystrego i ponurego Szatrowa. Twarz Dawydowa, o wyrazistym, nieprawidłowym nosie, wypukłym czole pod czupryną siwych włosów, jakże inna była od twarzy Szatrowa. Jedyne oczy obu przyjaciół, o nieuchwytniej jasności i przenikliwości, podobne były do siebie, a to na skutek wyrażającego się w nich takiego samego napięcia myśli i woli.

Dawydow usadowił Szatrowa, obydwoj zapalili i zaczęli z zapalem opowiadać sobie to wszystko, czego nie wypowiedzieli w listach, a co nagromadziło się w ich umysłach w ciągu tylu lat. Nagle Dawydow pociągnął się za ucho i wy dobył z kieszeni płaszcza dość pokaźne zawiniątko. Rozwinął je i położył przed Szatrowem.

— Proszę zjeść, Aleksieju Piotrowiczu... Nie oponować! — zawołał nagle w odpowiedzi na gest protestu ze strony Szatrowa i obydwoj roześmieli się.

— Zupełnie jak w czterdziestym — powiedział rozweselony Szatrow — znów zapomniałeś zjeść! Oberwiesz!

Dawydow roześmiał się serdecznie.

— Oberwę, jeśli zaniosę do domu. Bądź uprzejmy „jak w czterdziestym“.

— Zaraz my tu go — szorstko poruszył ręką Szatrow. — O key!

— Oczywiście i twoje „O key“, jak dawniej. Jak przyjemnie jest słyszeć! Posłuchaj Aleksieju Pietrowiczu, chodź do muzeum, pokażę ci ciekawe nowości... Jest dla ciebie praca...

— Nie, Ilja Andrejewiczu, mam bardzo pilną sprawę. Muszę poważnie o czymś z tobą pomówić, potrzebny mi jest twój umysł, który zawsze pracuje dobrze i bezbłędnie...

— Ciekawe! — Dawydow przesunął palcem po ostatnim wierszu rękopisu i złożył niezapisane arkusze. — List twój otrzymałem tydzień temu i jeszcze nie odpowiedziałem. Nie popieram...

— Nie popierasz moich utyskiwań? Trudna dla mnie chwila — z lekka speszony, w poczuciu winy odpowiedział Szatrow. — Zapożyczyłem od ciebie pewną ideę filozoficzną, która często mi pomaga. By stosować ją, muszę jednak posiadać pewien hart ducha. A zdarza się, że człowiek słabnie...

— Cóż to za idea? — ze zdumieniem zapytał Dawydow.

— Można ją wyrazić magicznym wyrazem „to nic“. Jak często w latach wojny brakło mi tego małego „to nic“.

Dawydow śmiał się bez ustanku, wreszcie złapał oddech i z trudem wymówił:

— Właśnie, że to nic. Będziemy pracować dalej. Oczywiście bywa czasem trudno. Nauka nasza wymaga dużo wysiłku, gdyż obejmuje odsłonięcie warstw i gromadzenie olbrzymich zbiorów, i skomplikowane opracowanie materiału, a pracowników jest bardzo, bardzo mało. Wypada często tracić nieprodukcyjnie czas, zwracać uwagę na głupstwa. No, ale prowadziliśmy poważną rozmowę, a ja odbiegłem od tematu.

— Rozmowa nasza będzie niezwykła. Trzymam w rękach coś niebywałego, a rzecz ta o tyle jest nieprawdopodobna, że nikomu prócz ciebie nie odważyłbym się o tym powiedzieć.

Z kolei Dawydow okazał zniecierpliwienie. Szatrow uśmiechnął się chytrze, tak samo jak przy wejściu do gabinetu, otworzył swoją paczkę i wyjął z niej duże sześciennie pudło z żółtej tektury, ozdobione chińskimi hieroglifami i stemplami pocztowymi.

— Czy pamiętasz Tao-Li?

— Oczywiście! To był młody chiński paleontolog, bardzo zdolny! W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, gdy wracał z ekspedycji, został zabity przez bandytów faszystowskich. Zginął za wolność Chin!

— Zgadza się! Badałem niektóre jego materiały, korespondowałem z nim. Zamierzał nawet przyjechać do nas. Ale tak się stało, żeśmy się nie spotkali! — westchnął Szatrow. — Ze swojej ostatniej ekspedycji przysłał mi paczkę z bardzo ciekawą zawartością. Paczka ta leży tu na stole. Do niej załączona jest kartka, w której Tao-Li zapowiada nadesłanie szczegółowego listu, którego jednak nie udało mu się napisać. Zabito go w Seczuanie po drodze do Czun- Kingu.

— A gdzie był z ekspedycją?

— W prowincji Sikan.

— Ho, ho! Dokąd się dostał! — Zresztą jest to węzeł górski na wschodnim

skraju Himalajów, położony między nim a Seczuańskimi Górami. Wszak słynny Kam, dokąd dążył Przewalski, także się tam znajduje.

Szatrow z zadowoleniem spojrział na przyjaciela.

— Rzeczywiście, w geografii trudno z tobą rywalizować! Ja z mapą w ręku z trudnością się zorientowałem. Kam — znajduje się w północno-zachodniej części Sikanu, a Tao-Li prowadził badania właśnie w Kamie, we wschodniej części okręgu En-Da.

— Tak, to jest jasne. Proszę, pokaż te nadzwyczajności. Stamtąd można spodziewać się wszystkiego.

Szatrow wy dostał z pudła zawiniątko spowite w kilka warstw cieniutkiego szeleszczącego papieru i po odpakowaniu podał wreszcie Dawydowowi odłamek twardej kości wykopaliskowej, która z pierwszego spojrzenia wydawała się nieforemną.

Dawydow ze dwa razy odwrócił ciężki, jasnoszary przedmiot i powiedział:

— Kawał tylnej części czaszki ogromnego drapieżnego dinozaura *¹⁰, cóż w tym nadzwyczajnego?

Szatrow milczał. Dawydow jeszcze raz obejrzał kość i nagle wydał głuchy okrzyk. Szybko położył odłamek na stół i pośpiesznie wyciągnął z żółtej politurowanej skrzyneczki binokularną lupę, wyciągnął ramę statywu, przymocował do niego tubus. Szerokie plecy profesora pochyliły się nad aparatem, przyłgnął cały do binokularu, wsuwając jednocześnie pod lupę swoje ogromne ręce z zaciśniętą w nich kością dinozaura. Przez pewien czas w gabinecie panowało milczenie. Szatrow potarł zapalkę. Wtedy Dawydow podniósł sponad binokularów rozszereżone w zdumieniu oczy.

To nie do wiary! Nie mogę znaleźć wyjaśnienia. Czaszka jest przebita na wylot, i to w najgrubszym miejscu kości. Otwór jest o tyle wąski, że nie mógł być przebity rogiem ani zębem jakiegoś zwierzęcia. Gdyby zaś był spowodowany chorobą — nekrozą lub próchnicą — wtedy na krawędziach byłyby widoczne ślady chorobowych zmian! Nie, ten otwór został przebity! Przebity w żywej kości! Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Obie ścianki czaszki. Na wylot, jak gdyby kulą. Gdyby to nie było majaczeniem, powiedziałbym, że jest to ślad kuli... Ale nie! Otwór nie jest okrągły — jest to owalna wąska szparka, jak gdyby wypilowana, która potem, już w okresie okamienienia kości, wypełniła się kruchą skałą.

¹⁰ * **Dinosaur** — należy do wielkiej grupy wymarłych jaszczurów, które przez dłuższy czas zamieszkiwały ziemię od 150 do 80 milionów lat temu.

Dawydow ostrym ruchem odepchnął statyw binokularów.

— O ile dotychczas nie byłem skłonny do majaczeń, gdyż jestem najzupełniej trzeźwym człowiekiem, to obecnie mogę powiedzieć tylko: dziwny wypadek, niezrozumiały wypadek!

Chłodno popatrzył na Szatrowa. Ten wyciągnął z pudełka drugą paczkę i znowu zaszeleścił papierem.

— Nie mogę sprzeczać się z tobą! — powoli powiedział Szatrow. — Jest to rzeczywiście dziwny wypadek i jeśli dobrze pomyśleć, to można znaleźć niejedno wytłumaczenie. Ale drugi identyczny wypadek może zmusić cię do tego, abyś się wyzbył wątpliwości. A ten drugi wypadek istnieje, ot proszę — O key!

Na stole przed Dawydowem znalazła się druga kość — płaska, o złamanych krawędziach.

Dawydow zaciągnął się może zbyt mocno dymem papierosa i zakaszłał.

— Kawalek lewej łopatki drapieżnego dinozaura — mówił Szatrow pochylając się nad ramieniem przyjaciela — ale nic należy do tego zwierzęcia co czaszka. Jest to większy i starszy okaz...

Dawydow kiwnął głową na znak zgody, nie odrywając jednak spojrzenia od małego owalnego otworu w kościanej płytce — pozostałości łopatki ogromnego jaszczura.

— To samo! To samo! — szepnął zdenerwowany, dotykając palcem krawędzi zagadkowego otworu.

— A teraz liścik od Tao-Li — powoli mówił Szatrow, tając uczucie triumfu.

Jemu, który już pojął wstrząsające znaczenie tego odkrycia, łatwiej było zachować zimną krew.

Zamiast płynnego rosyjskiego języka, w gabinecie daty się słyszeć oderwane angielskie słowa. Szatrow powoli czytał krótką wiadomość, jaką im podał niezujący już uczoney:

...O czterdzieści mil na południe od En-Da, w systemie lewych dopływów Mekonga, natrafiłem na obszerną kotlinę, zajętą obecnie przez dolinę rzeki Czu-Cze-Czu. Jest to międzygórska zapadlina tzw. rów tektoniczny, zalany potokiem lawy w okresie trzeciorzędowym.

Tam, gdzie wąwóz rzeki przecina na wylot warstwę lawy, można stwierdzić, że grubość jej wynosi trzydzieści stóp. Pod nią leżą miękkie piaskowce, które zawierają mnóstwo kości dinozaurów; pośród nich znalazłem kości w dziwny sposób uszkodzone. Dwie z nich posyłam Panu, ponieważ tym, co znalazłem, jestem zdumiony do tego stopnia, że muszę upewnić się, czy nie tkwi w tym wszystkim jakiś błąd. Nie wszystkie uszkodzenia są takie same. Jedne wyglądają, jak gdyby część

kości ścięta była ogromnym nożem, choć nie ulega wątpliwości, że miało to miejsce przed śmiercią zwierzęcia, a właściwie w chwili śmierci. Wiozę do Czunku Kingu więcej niż trzydzieści takich próbek, zebranych w różnych miejscach doliny, gdzie natrafiono na dużą ilość dinozaurów, przy czym szkielety ich zachowane są w całości. Etykiety z dokładnymi danymi dotyczącymi miejsca są wypisane na kościach. Śpieszę się bardzo, gdyż chcę odesłać Panu tę paczkę, dokładny list napiszę, gdy wrócę do bardziej komfortowych warunków życia w Seczuanie.

Szatrow zamilkł.

— To wszystko? — z niecierpliwością zapytał Dawydow.

— Tak. Wiadomość równie krótka, jak ważna.

— Zaczekaj Aleksieju Pietrowiczu, daj mi przyjść do siebie. To jakiś sen! Siadziemy sobie spokojnie i omówimy całą tę rzecz. Wszystko mi się w głowie pokręciło, po prostu zgłupiałem.

— Doskonale cię rozumiem, Ilja Andrejewiczu. Trzeba przyznać, że uczony musi mieć dużo odwagi, ażeby wyciągnąć z tego faktu odpowiedni wniosek. Należy zburzyć wszystkie dotychczasowe pojęcia... Nie wykazuję w swoich pracach takiej śmiałości, jak ty, ale widzę, że tu i tyś się zahaczył...

— Dobrze, starajmy się rozumować śmiało, jako że jesteśmy sami i nikt nie pomyśli, że dwa paleontologiczne wieloryby postradały rozum. A więc zaczynam. Wynika stąd, że drapieżne dinozaury zostały z a b i t e jakąś potężną bronią. Siła jej strzału przewyższała najpotężniejszą broń współczesną. Taką broń mogło stworzyć tylko stworzenie myślące, w dodatku stojące na wysokim szczeblu kultury. Czy słusznie mówię?

— Bez wątpienia. Ergo *¹¹ człowiek! — dodał Szatrow.

— Tak, ale dinozaury żyły w okresie kredowym*¹² powiedzmy siedemdziesiąt milionów lat temu. Wszystkie fakty, stwierdzone przez naszą naukę, niezaprzeczalnie stwierdzają, że człowiek zjawił się na Ziemi, jako jedno z ostatnich ogniw wielkiego łańcucha rozwoju świata zwierzęcego, sześćdziesiąt dziewięć milionów lat później, że jeszcze przez wiele setek tysięcy lat przebywał w stanie zwierzęcym, zanim w ostatniej swojej postaci nauczył się myśleć i pracować. Przedtem człowiek nie mógł powstać, a tym bardziej człowiek posiadający jakąś technikę. Jest to absolutnie wykluczone. Z tego można wyciągnąć tylko jeden wniosek: ci, którzy zabili dinozaura, nie urodzili się na Ziemi. Przybyli z innego świata...

¹¹ * Ergo (łac.) — przeto

¹² * Okres kredowy trwał około sześćdziesięciu milionów lat i zakończył się sześćdziesiąt milionów lat przed naszą erą.

— Tak, z innego — twardo powiedział Szatrow. — I ja... .

— Jedną chwilę. Na razie jeszcze wszystko jest zrozumiałe. Ale dalej już staje się nieprawdopodobne. Ostatnio osiągnięcia astronomii i astrofizyki zmieniły stare pojęcia. Napisano już wiele powieści o przybyszach z innych światów. Prawdą jest, że jeszcze niedawne twierdzenia uczonych o tym, że nasz system słoneczny, planet jest zjawiskiem wyjątkowym — zostały obecnie odrzucone. Obecnie mamy podstawy do przypuszczenia, że wiele gwiazd posiada systemy planetarne. A ponieważ liczba gwiazd we wszechświecie jest przeogromna, przeto i niezliczona jest ilość systemów planetarnych. Dlatego też bezpodstawne byłoby twierdzenie, że życie na naszej planecie jest wyłącznym przywilejem Ziemi. Można śmiało twierdzić, że w przestrzeniach wszechświata istnieje wiele życia. Z równą śmiałością można twierdzić, że życie wszędzie przechodzi drogę rozwoju ewolucyjnego i dlatego jest zupełnie możliwe ukazanie się istot myślących. Tak jest. Ale równocześnie wiemy, że odległości do najbliższych gwiazd i systemów planetarnych są przeogromne. Na przebycie ich potrzeba setek i tysięcy lat lotu z szybkością promienia świetlnego, który przebiega trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Takiej szybkości istota żywa — delikatny, bardzo delikatny i kruchy twór materii — wytrzymać nie może. A w naszym systemie planetarnym, prócz naszej Ziemi, jedynie Mars i Wenus rokują pewne nadzieje. Ale nadzieje te są słabe. Na Wenus jest zbyt gorąco, obrót jej jest powolny, atmosfera gęsta i pozbawiona tlenu w stanie wolnym. Jest wątpliwe, czy na Wenus mogło rozwijać się życie, i zupełnie wykluczona jest tam obecność istot myślących, o wysokiej kulturze. To samo dotyczy Marsa. Atmosfera na tej planecie jest zbyt rozrzedzona, warstwa jej zbyt cienka, ciepła jest tam mało, a jeśli istnieje tam życie, to jedynie w słabych niedorozwiniętych formach. Nie wątpię, że nie ma tam wybujałej energii w rozwoju życia, energii która potrafiła na naszej Ziemi wytworzyć człowieka. O dalekich zaś i wielkich planetach nie wspominam: Saturn, Jowisz, Uran, Neptun — są to światy straszliwie zimne, ciemne, jak dolne sfery Dantego Piekła. Weźmy np. Saturn: w środku planety znajduje się jądro skaliste, na którym leży warstwa lodu ogromnej grubości. Promień planety ma sześćdziesiąt tysięcy kilometrów. I wszystko to jest spowite gęstą atmosferą grubości 25000 kilometrów, nieprzeniknącą dla promieni słonecznych i bogatą w trujące gazy — amoniak i metan. Oznacza to, że w takiej atmosferze panuje wieczny mrok przy mrozie stu pięćdziesięciu stopni i ciśnieniu miliona atmosfer... Ciarki przechodzą, gdy człowiek sobie wyobrazi...

— Nie wszystko było mi wiadome z tego, o czym opowiadałeś — ale tak samo myślę, że w naszym systemie planetarnym nie ma pokrewnych nam istot,

podobnie jak my myślących. I ja sędzę...

— Widzisz więc, że na naszych planetach ich nie ma, a przybycie z dalekich gwiazd jest niemożliwością. Więc skąd mogli się wziąć ci przybysze? Oto w czym tkwi nieprawdopodobieństwo.

— Nie dosłuchałeś mnie do końca, Ilja Andrejewiczu! Pomimo że nie posiadam twojej erudycji w wielu dziedzinach, ale na ogół myśli moje biegły w podobnym kierunku. Przecież gwiazdy nie są nieruchome. Gwiazdy przesuwały się wewnątrz naszej Galaktyki, sama zaś Galaktyka obraca się i cała jeszcze gdzieś się przesuwa, podobnie jak wielka ilość innych Galaktyk. W ciągu milionów lat mogły następować istotne zbliżenia i oddalenia się gwiazd...

— Tak, ale wątpię, czy to nam pomoże. Wszak przestrzeń Galaktyki jest o tyle ogromna, że prawdopodobieństwo zbliżenia właśnie naszego słonecznego systemu do innych praktycznie równa się zeru. I jak poznać te gwiazdne drogi?

— To jest oczywiście słuszne, ale jedynie w tym wypadku, jeśli ruchy gwiazd nie podlegają prawom i nie odbywają się po jakichś określonych drogach. Jeżeli jednak podlegają jakimś prawom? I jeżeli prawa te można ustalić i wyliczyć?

— Hm! — sceptycznie mruknął Dawydow.

— Dobrze, otwieram swoje karty. Otóż jeden z moich byłych uczniów uciekł z trzeciego kursu i przerzucił się na nauki matematyczne, na astronomię, zajął się zagadnieniem ruchu naszego systemu słonecznego w granicach Galaktyki i stworzył ciekawą i dobrze uzasadnioną teorię. Będę się streszczał. Nasz system słoneczny opisuje wewnątrz Galaktyki ogromną eliptyczną orbitę, której okres obiegu trwa dwieście dwadzieścia lat. Orbita ta jest nieco pochylona w stosunku do horyzontalnej płaszczyzny gwiazdowego „koła“ naszej Galaktyki. Dlatego też Słońce z planetami w określonym czasie przecina zasłonę ciemnej substancji — zastygłej materii składającej się z pyłków i okruchów — która ścieli się w równikowej płaszczyźnie „koła“ Galaktyki. Wówczas Słońce przybliży się do zgęszczonych systemów gwiazdnych w obszarach centralnych, w rodzaju, powiedzmy, konstelacji Strzelca. W tym wypadku możliwe jest zbliżenie naszego systemu słonecznego do innych nieznanymi systemów na taką odległość, że przelot może się stać realnym.

Dawydow nie poruszając się słuchał przyjaciela, a dłoń jego zastygła na statywie binokularu.

— Tak brzmi teoria — kontynuował Szatrow. — Dopiero powróciłem z miejsca katastrofy, w której zginął mój były uczeń i gdzie odnalazłem jego rękopis. Zginął w roku czterdziestym trzecim... — Szatrow przerwał i zapalił papierosa. — Tak, teoria wskazuje nam tylko możliwość — zaakcentował ostatnie

słowo, — ale jeszcze nie daje nam prawa uważania nieprawdopodobieństwa za fakt realny. Ale kiedy widzimy z a z ę b i a n i e się dwóch zupełnie niezależnych od siebie obserwacji — możemy uważać, że jesteśmy na właściwej drodze.

Szatrow wyprostował się, stanął w malowniczej pozie i podniósł do góry głowę. — W teorii mojego ucznia powiedziane jest wyraźnie, że zbliżenie się systemu słonecznego do centralnych zgęszczeń Galaktyki nastąpiło mniej więcej siedemdziesiąt milionów lat temu!

— Przekłęta siła! — wykrzyknął Dawydow swoje ulubione przekleństwo.

Szatrow kontynuował uroczyście:

— Jedno nieprawdopodobieństwo zazębione o inne zamienia się w zdarzenie realne. Przypuszczam, że mam prawo twierdzić i w okresie kredowym nastąpiło zbliżenie naszego systemu planetarnego z innym systemem zaludnionym myślącymi istotami — po prostu ludźmi, jeśli chodzi o intelekt — że istoty te przedostały się ze swojego systemu na nasz, jak na oceanie z okrętu na okręt. A potem, na ogromnej przestrzeni minionego czasu, okręty te rozeszły się i znów dzielą je nieprawdopodobne przestrzenie. Ci z innej gwiazdy niedługo bawili na naszej Ziemi i dlatego nie pozostawili na niej widocznych śladów. Ale byli tu, opanowali przestrzeń międzyplanetarną na siedemdziesiąt milionów lat przedtem, zanim my zaczęliśmy się interesować tą kwestią...

— Czy masz jakieś zastrzeżenia?

Dawydow wstał, spojrzął na przyjaciela i milcząc wyciągnął doń rękę:

— Przekonałeś mnie. Ale nie jest dla mnie jeszcze jasne — dlaczego mieli trafić właśnie na naszą planetę — maleńki pyłek pośród planet i gwiazd? Są jeszcze inne pytania, ale sprawa zasadnicza jest według mnie dostatecznie przekonująca. Niesłychane, nieprawdopodobne, ale realne. Jednakże jak myślisz, czy można to ogłosić drukiem?

Szatrow potrząsnął głową:

— W żadnym wypadku! Pośpiech może wszystko zabić. Jeżeli chodzi o takie odkrycie — jest po prostu niedopuszczalne.

— Słusznie, słusznie, przyjacielu. Zawsze lepiej jest przeczekać aniżeli zaglądać naprzód. Ale tymczasem przygotować się należy! Należy uzbroić się w argumenty tak ważne, jak nasz „argument” w Leningradzie.

Szatrow przypomniał sobie „argument”, który znajdował się w czasie ich wspólnej pracy w kącie gabinetu Dawydowa.

Była to masywna żelazna podstawa szkieletu. Dawydow groził, że będzie przy jej pomocy przekonywał upartego i zapalczego w dyskusjach przyjaciela. Szatrow mimo woli uśmiechnął się:

— A jakże, pamiętam! O właśnie. Tutaj rozpoczyna się druga część mojej sprawy. Nie jestem geologiem, nie pracuję w polu — jestem po prostu mołem książkowym. A tylko ty, i nikt inny, będziesz miał dość siły, by przeprowadzić to przedsięwzięcie. Twój autorytet...

— Cha, cha, cha! Jednym słowem, trzeba będzie robić odsłonięcia warstw w miejscu, gdzie odbyła się walka gwiazdnych przybyszów z dinozaurami... No, no...

Dawydow zamyślił się, potem powoli powiedział:

— To jest bardzo ciekawe miejsce, ten Sikan. A dla nas paleontologów, diabli wiedzą, co to jest! Wiesz zapewne, Aleksy Piętrowiczu, że tam w końcu trzeciorzędowego okresu istniały starożytne i nowe formy wymarłych ssaków. Dziwna mieszanka tego, co w niektórych miejscach na Ziemi już wymarło dziesiątki milionów lat temu, z tym, co się niedawno zjawilo. A samo miejsce! — zapalił się Dawydow. — Wysokie, pokryte wiecznym śniegiem góry, zimne płaskowzgórza, suche i pustynne, a pomiędzy nimi — głębokie doliny z cudowną tropikalną roślinnością. Nieprzebyte przepaści, odległe osiedla. Od jednej wioski do drugiej odległość wynosi, powiedzmy, dwa kilometry, ale pomiędzy nimi leży przeraźliwie głęboka dolina, tak że mieszkańcy tych wiosek nigdy się nie spotykają, choć mogą się widzieć z daleka. Dziwne, nieznanne jeszcze w nauce zwierzęta mieszkają w gęstych lasach, na dnie dolin, na górze zaś wyją zimne wichry. Tam biorą początek największe rzeki Indii, Chin, Syjamu — Bramaputra — Mekong. Zdziwiająca miejsce! Czy wyobrażacie sobie to miejsce, gdzie stykają się Tybet, Indie, Syjam, Birma, Chiny? Cha, Cha! Czy nasi „przyjaciele” puszcza tam bolszewickich uczonych? Czy nauka może przeniknąć tam, gdzie panuje wroga dyplomacja, politykujący spryciarze! — Dawydow wyciągnął ogromny stary zegarek. — Nie ma jeszcze drugiej. Co to znaczy wielkie wzruszenie, zdawało się, że minął cały dzień! — Wstał i podał Szatrowowi kóleczo z kluczami.

— Pudełko schowaj do tej szafy z lewej strony... Cokolwiek by się stało, musimy uczynić wszystko, co tylko możliwe. Chodź, dowiemy się, może Tuszyłow nas przyjmie. Czy długo zostajesz w Moskwie, Aleksy Pietrowiczu? Aż do wyjaśnienia? No to znaczy, że zabawisz tu tydzień, gdyż wątpię, czy się wcześniej coś załatwi. Oczywiście, zamieszkas u mnie. Zadzwoń zaraz do sekretarza, a potem do domu i powiem, że się jeszcze zatrzymamy.

*

* *

W obszernym, skromnie umeblowanym pokoju Dawydowa było cicho. Po-
przez ogromne okna przenikał błękitnawy półmrok letniego zmierzchu. Szatrow
długo chodził z kąta w kąt, zgarbiony i milczący. Dawydow ponuro rozsiadł się
w fotelu przy swoim dużym biurku.

Przyjaciele rozmyślali, każdy po swojemu. Nie chciało się zapalać światła, jak
gdyby zapadający powoli zmrok zmniejszał ich zmartwienie.

— Jutro wyjadę — przemówił wreszcie Szatrow — dłużej nie mogę tu zostać,
nie ma już po co. Odmowa bezapelacyjna. Zresztą wątpię, czy mogło się stać ina-
czej. Nasi potomkowie rozpatrzą tę sprawę kiedyś, gdy znikną te przeklęte granice
i cała ta pokutująca jeszcze starzyzna!

Dawydow nie odpowiadając spoglądał w okno, gdzie ponad dachem sąsied-
niego domu nieśmiało zapalały się drobne i blade gwiazdy miejskiego nieba.

— Gorzko jest stać jak żebrak na progu wielkiego odkrycia i nie mieć możli-
wości wejścia — znów przemówił Szatrow. — Już nie zaznam spokoju do końca
moich dni i nie pocieszą mnie żadne osiągnięcia i sukcesy.

Dawydow nagle potrząsnął nad głową zaciśniętą pięścią:

— Nie możemy tym się zrażać. Pomogą nam! Diabli niech wezmą ten Kam.
A zresztą, jaką mamy pewność, że tam, gdzie zachowały się ślady zabitych przez
„nich“ dinozaurów, znajdują się również ich ślady? Żadnej! Jeśli „oni“ zjawili
się, to nie widzę powodów, dla których mieliby siedzieć na jednym miejscu. Dla-
czego nie możemy poszukać w naszych kredowych złożach? I mogę powiedzieć
z góry; jeśli istnieją podobne pozostałości, to można je odnaleźć tylko w syste-
mach wysokich i młodych grzbietów górskich. W Kamie odkrycie to jest przy-
padkowe. Dlaczego? Dlatego, że tam, gdzie skorupa ziemska rozszczepiona jest
na niezliczone drobne działki, z których jedne się podnoszą, a drugie się opusz-
czają — tylko tam mogą zachować się różne małe i przypadkowe złoża i uniknąć
nieuchronnego rozmycia. Jeśli jakieś małe wgłębienie zaczęło opuszczać się jesz-
cze w okresie kredowym, a potem pozostało tam w postaci niewielkiego zagłę-
bienia pośród gór, pod wciąż narastającymi warstwami osadów — to może ocaleć
to, co w innych miejscach, na przykład na równinie, zostanie rozmyte, przenie-
sione i zniszczone. Odpowiednie miejsca istnieją w naszych górach Kazachstanu,
Kirgizji, w ogóle w Azji Środkowej. Góry te odnoszą się do wielkiej górotwórczej
fazy Alpejskiej^{*13}, która rozpoczęła się z końcem okresu kredowego. Mamy gdzie
szukać, ale należy wiedzieć, czego szukać.

— Słowo daję, że nie rozumiem cię, Iija Andrejewiczu — przerwał Szatrow.

¹³ * Alpejska faza górotwórcza — ostatni w historii ziemi okres tworzenia się gór,
kiedy to powstały najwyższe z istniejących obecnie kraje górzyste.

— Czy nie jest jasne czego, a właściwie k o g o szukać?

— Właśnie, że nie masz racji! Powinniśmy ustalić, jaki był wygląd tych przybyszów, czym właściwie byli — może tylko protoplazmą, której ślady nie mogły się zachować. To jest pierwsza rzecz. Po wtóre co tu robili. Pierwsze pomoże nam ustalić, jakie szczątki możemy napotkać przy wykopach — drugie — gdzie najłatwiej możemy na te szczątki natrafić, jeśli one w ogóle istnieją. Przez jakie miejsca naszej planety przybysze ci mogli wędrować? Ach, jeśli się głębiej zastanowić, to nasze przedsięwzięcie wyda się beznadziejne. Oczywiście nie oznacza to, że mamy się wyrzec naszych zamiarów! A więc jak za dawnych dobrych czasów kiedyśmy wspólnie pisali pracę, podzielmy wykonanie naszych zamierzeń. Ty opracujesz pierwsze zagadnienie od strony biologicznej. Ja zaś opracuję kwestię drugą, to jest całą geologię, kierunek i rozwój poszukiwań. Mam niektóre pomysły — wszak badałem nasze olbrzymie średnio azjatyckie obszary pobytu dinozaurów.

— Powierzyłeś mi niełatwe zadanie! — wykrzyknął Szatrow. — Kto wie, czy można zbadać, jakie formy życia istniały w innych światach! Tu przecież nikt nie może powiedzieć nic określonego na ten temat, słowo daję.

— Zgnilizna, gnuśność i nędza inteligencka! — nagle rozwścieczył się Dawydow. — Oczywiście, zadanie jest bardzo trudne, dlatego że brak faktów, trzeba będzie pracować jedynie wyobraźnią. Cała nadzieja w pomocy rozumu. Przełamać ślepą ścianę! Ale jeśli twoja głowa nie wymyśli nic do rzeczy, któż z nas wszystkich to rozstrzygnie? A fantazje o różnych formach życia — o wszelkich tworach z metalu lub kamienia — to pozostawcie pisarzom. Nam nie jest z tym do twarzy. Należy pamiętać o energetyce życia, która powstała nie przypadkowo, ale całkiem zgodnie z prawami natury. Zasadnicze podstawy są następujące i ażeby pozostać do końca uczonymi, na nich się musimy opierać. Budowa żywych istot nie jest przypadkowa. Przede wszystkim jedność materii wszechświata jest rzeczą dowiedzioną — wszędzie i zawsze, tak jak i na naszej Ziemi, istnieją dwięćdziesiąt dwa pierwiastki. Dowiedziono również wspólnoty praw chemicznych i fizycznych we wszystkich głębinach wszechświatowej przestrzeni. A jeżeli tak, to — Dawydow trzasnął pięścią w stół — żywe stworzenie składające się z najbardziej skomplikowanych cząsteczek musi mieć za podstawę węgiel, który zdolny jest do tworzenia najbardziej skomplikowanych połączeń. Po wtóre, podstawą życia jest wykorzystanie energii promieniowania Słońca, wykorzystanie najbardziej rozpowszechnionych i efektywnych chemicznych reakcji tlenowych. Czy tak?

— Wszystko jedno — skinął Szatrow — ale na razie...

— Jedną chwileczkę. Im bardziej skomplikowana jest budowa cząsteczek, tym łatwiej rozpadają się one w wyższej temperaturze; w materii rozżarzonych gwiazd w ogóle nie istnieją związki chemiczne. W mniej silnie nagranych światłach, jak w widmach zimnych czerwonych gwiazd, w plamach słonecznych, wykrywamy tylko najprostsze połączenia chemiczne. Dlatego też można twierdzić, że powstanie życia w każdej, najbardziej niezwyklej formie może nastąpić tylko w stosunkowo niskiej temperaturze. Nie powinna ona jednak być zbyt niska, gdyż wtedy zanadto zmniejszy się ruch cząsteczek i przestaną zachodzić reakcje chemiczne, a więc nie będzie się tworzyć potrzebna dla życia energia. Dlatego można z góry, bez specjalnych przewidywań mówić o określonych wąskich granicach temperatury, w których istnieją żywe organizmy. Nie będę cię zameczał długimi rozumowaniami, ale łatwo jest zrozumieć, że są to granice temperatury, w których woda istnieje w stanie płynnym. Woda rozpuszcza i roznosi substancje potrzebne dla życia organizmu.

Aby powstało życie wraz z narastającymi jego komplikacjami, potrzebny jest długotrwały, historyczny, ewolucyjny rozwój. Czyli że warunki konieczne dla jego istnienia powinny być trwale w wąskich granicach temperatury, ciśnienia, promieniowania i tego wszystkiego, co rozumiemy jako warunki fizyczne na powierzchni Ziemi.

Co zaś dotyczy myśli, to może przejawiać się tylko w bardzo skomplikowanym organizmie, o wysokim rozwoju przemian energetycznych — w organizmie, który jest w pewnym stopniu niezależny od otaczającego środowiska. To znaczy, że dla powstania istot myślących istnieją granice węższe — podobne do wąskiego korytarza biegnącego poprzez czas i przestrzeń.

Weźmy na przykład rośliny, które asymilują węgiel przy pomocy światła. Jest to energetyka niższego rzędu inna niż tlenowe spalanie substancji u zwierząt. Dlatego rośliny, choć osiągają kolosalne rozmiary, nie zmieniają swego miejsca. W świecie roślinnym nie istnieje szybki i potężny ruch, jak u zwierząt. Rośliny nie mogą się poruszać. Wyrażając się pospolicie — jest to inna maszyna!

A więc życie w tych warunkach i w tej formie, w jakiej istnieje na Ziemi, nie jest przypadkowe, lecz podlega ścisłym prawom. Tylko takie życie może przechodzić długą drogę historycznego doskonalenia się, drogę ewolucji. Dlatego też zagadnienie sprowadza się do zbadania wszelkiego rodzaju ewolucyjnych dróg, jakie prowadzą od najprostszych tworów do myślącego stworzenia. Wszelkie inne rozwiązania są urojeniem, pozbawionym podstaw mająceniem nieuków!

— Surowo sądzisz, Ilja Andrejewiczu! Ja wcale się nie wyrzekam rozmyślań

nad tym zagadnieniem. I wszystko, co mi przyjdzie do głowy — będę ci komunikował...

*

* *

— Ilja Andrejewiczu, proszę was do telefonu. Już dzwoniło wiele razy, ale nie było was od wielu dni.

Dawydow, stęknął wściekle, odrywając się od korekty. Na stole leżał wielki stos odbitek, a do nich przypięty był arkusz: „Dla Prof. Dawydowa, pilne! Proszę nie zatrzymywać!” Pod odbitkami leżały dwa nadesłane artykuły recenzyjne już przetrzymane przez profesora. W ciągu kilku dni, jakie stracił usiłując uzyskać zezwolenie na prowadzenie prac na Kamie, zebrało się wiele terminowej pracy.

Pracy, która gromadzi się u każdego wybitnego uczonego, a nie dotyczy bezpośrednio jego poszukiwań. W mieszkaniu Dawydowa leżała gruba dysertacja, kandydat oczekiwał szybkiej oceny. Za trzy godziny miało się odbyć długie posiedzenie. Zjawił się preparator z prośbą o obejrzenie prac i wydanie dalszych wskazówek dotyczących dalszego ich prowadzenia. Jednocześnie należało koniecznie napisać kilka listów celem zrealizowania niezwyklej sprawy Szatrowa.

Po rozmowie telefonicznej profesor siadł przy stole i zabrał się do korekty. Pióro skrzypiało gniewnie po papierze, oderwane wyzwiska sypały się pod adresem korektorów. Wreszcie w oczach Dawydowa wiersze zaczęły zlewać się, opuścił dwie poprawki i zrozumiał, że musi zrobić przerwę. Przetarł oczy, wyprostował się i nagle zaśpiewał głośno, nieprawdopodobnie fałszując, jakiś ponury i jednostajny motyw:

— Och, ty matko-Wołgo, rzeko rosyjska...

Ktoś zapukał do na wpół uchylonych drzwi. Wszedł profesor Kolcow, zastępca dyrektora instytutu, w którym pracował Dawydow. Na obramowanej krótką bródką twarzy Kolcowa błąkał się jadowity uśmiezek, a ciemne oczy patrzyły smętnie spod długich, zagiętych jak u kobiety rzęs.

— Żałośnie śpiewasz, sir! — uśmiechnął się Kolców.

— Oczywiście! Całe zatrzesienie drobnych spraw, a do właściwej pracy podejść trudno. Im człowiek staje się starszy, tym więcej bzdur owija się dookoła niego, a siły już nie te same, trudno przesiadywać po nocach. Wciąż ta mysia krzątanina — zaryczał Dawydow.

— Uff, ile hałasu — zmarszczył się Kolcow. — Możecie ciągnąć dużo, postawę macie wspaniałą — niczym statua komandora. Cha, cha, cha! Otrzymaliśmy od Korpaczenki z Ałma-Aty list, który chyba was zainteresuje...

*
* *

Niebo ponad dachami rozjaśniło się, wczesny dzień letni walczył z żółtym światłem lampy stojącej na stole tuż obok na oścież otwartego okna. Dawydow zapalił papierosa, który utracił wszelki smak, nikotyna ciężarem kładła się na zmęczone serce. Ale wszystko, co profesor zamierzał załatwić — zostało wykonane; jedenaście listów do geologów, którzy pracowali na terenach złóż kredowych w Azji środkowej, leżało już na zawalonym papierami i książkami stole. Pozostało tylko zapieczętować koperty, aby listy odeszły poranną pocztą. Dawydow zaczął pisać adresy i nie spostrzegł, że do pokoju weszła jego żona, przecierając jak dziecko piąstkami oczy.

— Jak ci nie wstyd! — wykrzyknęła z oburzeniem. — Już świta. A przecież obiecałeś nie siedzieć po nocach? Wszak sam uskarżałeś się na przemęczenie, na utratę zdolności do pracy... Fe, jak nieładnie!

— Już skończyłem, widzisz przecież — zaadresuję tylko pięć kopert i jestem wolny — w poczuciu winy usprawiedliwiał się Dawydow. — I więcej nie będę siedzieć. Musiałem to wszystko koniecznie odrobić. Idź, idź moja mała, ja zaraz się położę.

Dawydow zaadresował ostatnią kopertę i zgasił lampę. Białe światło i chłodne powietrze poranka zapełniły pokój beznamiętną jasnością.

Dawydow spojrzał na niebo i potarł czoło. Zagadnienie poszukiwania gwiazdnych przybyszów w górskich kotlinach Azji Środkowej stanęło przed nim nagle w całej swojej nieogarniętej wielkości.

Rzeczywiście, jeśli stosunkowo często natrafia się na skamieniałe szczątki zwierząt, to tylko dlatego, że na powierzchni Ziemi żyły ich miliardy i wiele szczątków natrafiało na warunki, sprzyjające ich zachowaniu się i skamienieniu. Ale przybyszów z obcego świata nie mogło być wielu. Nawet jeśli ślady ich zachowały się, to znalezienie ich w ogromnych ilościach osadów, w tysiącach sześciennych kilometrów różnych skał możliwe jest tylko przy odkrywkach prowadzonych na wielką skalę. Tysiące ludzi musiałyby przetrząsać tysiące sześciennych metrów różnych skał, setki ogromnych ekskawatorów musiałyby zdejmować wierzchnie warstwy. Chimera! Żaden najbogatszy na świecie kraj nie może tracić miliardów rubli na prowadzenie odkrywek geologicznych na tak ogromną skalę. Zwykle zaś odkrywki paleontologiczne, nawet największe, przy których otwiera się powierzchnię trzystu, czterystu metrów kwadratowych — są kroplą w morzu, drobnostką po prostu wobec zamierzonego zadania. Możliwości więc równają się zeru.

Prawda naga i Nielitościwa zmusiła Dawydowa do opuszczenia zmęczonej głowy. Jego usiłowania wydały mu się śmieszne, plany — beznadziejne. Szatrow miał rację — tym bardziej, że oceniał swoim jasnym rozumem całą nieprzydatność środków, jakie były w jego dyspozycji.

— Przeklęta siła — zaklął w myśli Dawydow. — Widzę, że nie zasnę, zmoją mnie przeklęte wątpliwości. Jakby się zapomnieć, rozerwać? Ach, tu leży list przyniesiony przez Kolcowa, jeszcze go nie przejrzałem.

Profesor wy dostał z portfela list znakomitego geologa Kazachskiej Akademii Nauk. Pisał on do instytutu o tym, że w bieżącym roku zaczynają się potężne prace w wielu ogromnych międzygórkich kotlinach Tiań-Szania — państwowa budowa całej sieci ogromnych kanałów i elektrowni wodnych. Dwa największe zamierzenia: numer drugi w dolnym biegu rzeki Czu i numer piąty — w okolicach Kotliny Karkaryńskiej — odkryją częściowo górne kredowe warstwy, w których znajdują się ogromne skupiska kości dinozaurów. Dlatego należy koniecznie zorganizować stałe obserwacje paleontologów, w czasie gdy będą prowadzone roboty ziemne. Należy porozumieć się z Gosplanem *¹⁴, a potem uzgadniać wszelkie akcje z kierownikami budowy...

W trakcie czytania listu uczucie beznadziejności ustępowało z duszy Dawydowa. Zrozumiał, że przychodzi mu z pomocą wyjątkowe szczęście. Potrzeby jego nauki zbiegły się z przemysłowymi potrzebami kraju i obecnie ogromna potęga pracy urzeczywistni takie odsłonięcia warstw, jakie nie śniły się żadnemu uczonemu. Jest może nawet nadzieja sprawdzenia fantastycznego odkrycia Tao-Li, a jeśli uśmiechnie im się powodzenie, będą mogli podarować ludzkości wyraźny dowód tego, że nie jest ona samotna we wszechświecie!

Słońce, świeże i jasne, wstawało nad miastem, obłoki wydawały się pasmami liliowej piany na przezroczystej złotej wodzie. Szum budzącego się miasta wdzierał się do pokoju. Dawydow wstał, łapczywie wciągnął kilka razy świeże powietrze, zasunął portiery i zaczął się rozbierać.

*

* *

Szatrow zmiął i rzucił do kosza dopiero co ukończony rysunek czaszki. Potem wyciągnął ze stosu książek na stole broszurę i nie otwierając jej zamyślił się.

Trudna jest droga nowych poszukiwań! Rzadkie wzloty myśli — jak bajecznie lekkie skoki nad przepaściami ciężkich pomyłek. I wlec się przez cały czas po

¹⁴ * Gosplan — Państwowy Urząd Planowania.

stromych pochyłościach wspinając się powoli pod ciężarem faktów, które zatrzymują i wloką z powrotem w dół... Ale to nic! Zadanie jest przecież wielkie i ważne. A ci, co byli tu przed siedemdziesięciu milionami lat? Nieustraszona wola i rozum człowieka nie przełękły się nawet groźnych międzygwiazdnych przestrzeni. Te nieznanne istoty potrafiły przerzucić się z jednego gwiazdnego okrętu na drugi wtedy właśnie, gdy okręty te, szybujące z przeraźliwą szybkością, oddalały się od siebie. Nie ulękły się tego, że każda sekunda odsuwa ich na setki kilometrów od macierzystej planety. A gdy wypełnili swe zadanie — zdołali powrócić — oczywiście, że powrócili, gdyż wielkie zmiany, jakich człowiek dokonał w przyrodzie, nic uszłoby uwadze ludzi, którzy przeprowadzają dziś, po siedemdziesięciu milionach lat, studia nad naszą planetą.

Jeśli dotychczas nie dostrzeżliśmy tych zmian, to znaczy, że przybysze ci — nieznanani goście nieznanego świata — byli na Ziemi bardzo krótko!

Dobrze! Będzie dalej rozmyślał nad swoim zadaniem, będzie szukał wyglądu ludzi innych światów. I wkrótce zawiadomi Dawydowa... Ale Dawydow...

Ten pisze do niego regularnie o wszystkim, z wyjątkiem najciekawszej sprawy — jak posuwają się poszukiwania. Przeszło już półtora roku od chwili pamiętnej rozmowy w Moskwie, kiedy rozprawiali o przedziurawionych kościach wymarłych jaszczurów. Widocznie nic się nie udało wielkiemu przyjacielowi...

*

* *

W tej samej chwili auto Dawydowa posuwało się szybko po pełnej kurzu szosie. Białawy pył drgał w drżącym świetle reflektorów, podnosił się za autem w postaci obłoku, zakrywając gwiazdy. Z daleka, poprzez szybę widać było ogromną lunę. Stamtąd dochodziły głuchoe odgłosy, których nie mógł zagłuszyć szum motoru...

Po upływie pół godziny Dawydow w asyście kierownika robót oraz przydzielonego do budowy współpracownika skierowali się na północny koniec terenu, nieco ogłuszeni gigantycznym rozmachem prac.

Tysiąc-świecowe lampy na ogromnych słupach stały okrążone jakby mgłą, obłok gęstego kurzu przesłaniał lewą stronę terenu. Rozlegał się zgrzyt, szum i rumor potężnych ekskawatorów, zagłuszających zupełnie stuk setek wagoników, które z szumem wywracały się na bocznym torze.

Złoża były na całej grubości głęboko przecięte łożyskiem przyszłego kanału. Dwudziestometrowe ściany podnosiły się z obydwu stron: na ich równych, jakby

wygładzonych olbrzymim nożem pochyłościach występowały potężne zwirowiska, ogromne skupienia gładów z żółtymi piaskami i warstwowanymi piaskowcami, z milionami błyszczących blaszek miki i gipsu.

Noc, która rozpościerała się ponad pustynnym stepem, nie istniała tutaj, tak samo jak nie istniał step. Tu istniał tylko świat naprężonej gigantycznej pracy, który zmienił oblicze starożytnej kazachskiej pustyni.

Dawydow przechodził obok opalonych, pokrytych potem i kurzem ludzi, którzy nie zwracali na niego żadnej uwagi. Ogromne kilofy w umiejętnych rękach poruszały ogromne występy skał. Ciężkie, podobne do żelaznych szkieletów maszyny ciężko obracały się w kurzu. Wielkie ciężarowe auta całymi stadami tłoczyły się obok konwejerów, które w ogromnych ilościach zsypywały wydobywaną ziemię.

— To są dopiero prawdziwe odsłonięcia warstw, Ilja Andrejewiczu! — krzyknął współpracownik Dawydowa.

Profesor uśmiechnął się wesoło, chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili okryte kurzawą niebo rozjaśniło się szerokim łukiem nie bardzo jasnego zapłonu i ciężki huk rozległ się w głębi ziemi.

— Wybuch wyrzutowy — objaśnił kierownik robót. — Wyrzuciło za jednym zamachem trzysta tysięcy metrów sześciennych ziemi. Tam zaś na ósmej działce szykują rowek dla ekskawatorów.

Dawydow obejrzał „rowek”, wzdłuż którego szedł, a który ciągnął się tak daleko, jak sięgał wzrok, prosto przecinając step i ku północy rozszerzając się w kotlinę, która miała prawie pół kilometra średnicy. Tam odnaleziono zostało cmentarzysko dinosaurów— kolosalne nagromadzenie ogromnych skamieniałych kości. Kości ciągnęły się grzędą w poprzek całej kotliny, a widocznie i poza nią. Leżały nieporządnie nagromadzone, podobne do pni drzew, tworząc warstwę ośmiometrowej grubości, zmieszane z niewielką ilością żwiru. Nie było tutaj jednak całych szkieletów, tylko zmieszane bezładnie, różnej wielkości kawałki kości różnych gatunków wymarłych jaszczurów. Ekskawatory wcinały się w te złoża szczątków setek tysięcy potworów, rozgrzebując i oczyszczając całą powierzchnię kotliny. Rozrzucone i zwalono stosami kości ponuro czerniły się na skraju wgłębienia w nikłym świetle poranka.

*

* *

Słońce podniosło się wysoko i prażyło z całej siły. Stosy czarnych kości rozżarzyły się jak w piecu.

— Można uważać oględziny za ukończone — powiedział Dawydow, wycierając mokrą od potu twarz. — Tutaj jest to samo, co na drugiej działce. Jeszcze jedna grzęda kości. Przed dwudziestu laty w uroczysku Bozaby, na północ stąd, na prawym brzegu Czu znalazłem jeszcze dłuższą grzędę kości, coś około trzydziestu kilometrów długości. Podobne gigantyczne cmentarzysko znajduje się w dolinie rzeki Ili, w Kara-Tau i obok Taszkentu. I wszystkie wyglądają tak samo — składają się ze zmieszanych milionów kości, ale nie ma w nich ani jednego całego szkieletu lub czaszki. Do badań materiał ten prawie się nie nadaje. Są to pozostałości rozmytych kiedyś cmentarzysk dinozaurów, cmentarzy, które swoimi rozmiarami przekraczają wszelką fantazję.

— Czy macie jakieś nowe koncepcje dotyczące tych „pól śmierci”, Ilja Andrejewiczu? — zapytał pomocnik. — W ogłoszonych pracach...

— Wypowiedziałem się niejasno? — przerwał Dawydow. — Nie tylko niejasno, ale nawet błędnie. Nie wyobrażałem sobie wtedy dokładnie rozmiarów tego zjawiska.

— A obecnie, co myślicie o tym, Ilja Andrejewiczu?

— Nie wiem, po prostu nie wiem i nie myślę! — szorstko odpowiedział Dawydow. — No dobrze, trzeba już pójść. Jeśli odjadę za trzy godziny, to wieczorem będę na stacji Ługowa. Pociąg do Moskwy odchodzi o godzinie pierwszej w nocy.

— A ja, czy mam dalej prowadzić obserwacje?

— Oczywiście! Proszę dobrać sobie pomocników do segregowania kości. W masie odłamków znaleźć można czasem coś możliwego. Wreszcie na innych działkach mogą się znaleźć inne złoża. Zresztą jeśli wciąż będzie się napotykać na żwirowiska i zlepieńce, to nie ma się czego spodziewać. Tak się przedstawia sprawa z numerem dwa. Natomiast numer pięć ma już całkiem inny charakter osadów: piaski, żwir oraz piaskowce prawie bez żwiru. Są to osady małych spokojnych potoków i nawet częściowo powstałe na skutek wiatrów. Ale Starożyłow w ciągu pół roku pracy nie nadesłał nic ciekawego. Siedzi bez rezultatów i smuci się biedaczysko...

*

* *

W dużym pokoju, gdzie pracowali aspiranci znajdowało się troje młodych ludzi. Jeden z nich wgramoliwszy się na stół, z zapalem rozmawiał o czymś z dziewczyną, która siedziała w kącie przy małym stoliku.

— Obecna chwila historyczna — mówił wicherząc ' zawzięcie swoje gęste rudawe włosy—decyduje o wielu rzeczach w przyszłym losie ludzkości. Energia atomowa w rękach napastników grozi zniszczeniem cywilizacji oraz wszystkich

zdobyczy kultury. Uważam, że obecnie geologia i paleontologia nie są najważniejszą dziedziną nauki, i to budzi we mnie wątpliwości, czy właściwie obrałem sobie specjalność. Czuję się jakoś na uboczu prawdziwego życia. Chciałoby się być w liczbie tych, którzy wyzwalają energię atomową dla naszej ojczyzny. Kraj socjalizmu powinien mieć najpotężniejszą i najlepszą fizykę. Czy słusznie mówię, Żeniu ?

— To wszystko jest słuszne — odpowiedziała dziewczyna — ale jeśli ktoś nie jest zdolny do matematyki? Na przykład ja jej nie lubię — jak więc mogę pracować w dziedzinie fizyki?

— To nie jest takie straszne. Według mego zdania, w niektórych działach fizyki wcale nie potrzeba tyle matematyki... Czego potrząsasz głową? — zwrócił się do drugiego aspiranta, który w milczeniu przysłuchiwał się ich rozmowie.

— A jednakże paleontologia jest bardzo ciekawa! — westchnęła dziewczyna. — Oczywiście fizyka jest ważniejsza. Ale mnie się zdaje, że i tutaj można przynieść wiele pożytku... Wiedza...

Drzwi otwarły się z hałasem i do pokoju wbiegła chudziutka, zgrabna dziewczyna z rolką milimetrowego papieru w ręce.

— Koledzy, przyjechał Ilja Andrejewicz Dawydow! — Widziałam go w kancelarii. Powiedział, że zaraz tu przyjdzie. Trzeba się przygotować! A wy tutaj z Miszką tylko się rozmowami zajmujecie!

Żenią obejrzała się w stronę drzwi:

— My tu z Michałem rozprawialiśmy o poważnych rzeczach.

— Domyślam się, o jakich poważnych sprawach: aby rzucić paleontologię i zająć się energią atomową. Już cię od razu biorą! Ginie nieznaną geniusz! Wiecie co, zapytajmy Ilji Andrejewicza, jak on się na to zapatruje. Podobno, gdy jest wściekły klnie na czym świat stoi!

— Oszalałaś, Tamaro! — zdenerwował się Michał. — Czy można powiedzieć wielkiemu uczonemu, że jego nauki nie uważamy za ważną! My, jego aspiranci!

— A ja nie zlekne się i zapytam! — uparła się Tamara. — Należy wreszcie postawić kropkę na wszystkich naszych rozmowach. Zamęczyłeś nimi Żenię, a mnie też znudziłeś.

Ktoś głośno zapukał do drzwi. Michał natychmiast zeskoczył ze stołu. Żenią mimo woli poprawiła sobie włosy. Wszedł Dawydow, uśmiechając się szeroko, wypoczęty i ogromny, przywitał się i w kilku słowach opowiedział o swojej podróży.

— A teraz wy opowiadajcie. O waszych osiągnięciach i o tym, co was ciekawi ? Zaczniemy od pani, Tamaro Mikołajewno!

Tamara uśmiechnęła się z zażenowaniem:

— A czy można o coś zapytać w sprawie ogólnej? — zaczęła. — Czy pan się nie śpieszy?

Michał w komicznym swoim strachu, wzniosł za plecami Dawydowa oczy do góry.

— Zupełnie się nie śpieszę — odpowiedział Dawydow. — Nawet lubię, gdy mi się zadaje pytania.

— Ilja Andrejewiczu, Michał... i my wszyscy zastanawialiśmy się, czy dobrze obraliśmy specjalność.

W takich czasach, nasze skamieliny... Na przykład, Michał mówił, że trzeba uczyć się fizyki... Byliśmy na wykładzie Piętrowa — nie wszystko było zrozumiałe, ale strasznie ciekawe! — Tamara wypowiedziała to wszystko jednym tchem, zatrzymała się, westchnęła i zakończyła pośpiesznie: — Chciałam zapytać o pańskie zdanie w tej kwestii. Jak pan nam radzi ?

Dawydow spoważniał, nachmurzył się i wbrew przewidywaniu Tamary wcale się nie rozgniewał. Wyciągnął powoli papierośnicę.

— Okno otwarte, więc można palić. Pytanie jest poważne. Rozumiem was dobrze. W okresie wielkich przewrotów w technice te nauki, które stoją na uboczu, muszą wydawać się nieważne. I wy, młodzież, co zresztą jest zjawiskiem naturalnym, wahacie się nie bacząc na to, że posiadacie już pewną specjalność. Ja bym się także wahał... Ale oto co wam powiem...

Dawydow zapalił papierosa i w zamyśleniu patrzył na unoszący się do góry dym.

— Są ludzie — powiedział powoli profesor — którym obojętny jest wybór drogi naukowej. Przypadek, wyrachowanie — i będą zajmować się wszystkim co wypadnie. I nawet z dużym powodzeniem, z dobrymi wynikami. Ale ja nie uważam ich za prawdziwych uczonych. W każdym wypadku wybór gałęzi wiedzy — zostaje określony przez osobiste zamiłowania, zdolności, upodobanie. Tylko wtedy, jeśli rozum wasz będzie pożądał wiedzy i chwycił ją, jak chwycił powietrze człowiek, który się dusi — tylko wtedy będziecie prawdziwymi twórcami nauki, którzy nie szczędzą sił w swoim dążeniu naprzód, którzy stapiają swoją indywidualność w jedną całość z nauką. Na początku sam się wahałem. Z wykształcenia jestem inżynierem, lubię technikę, ale zasadniczo mam upodobanie do nauk historycznych. Dlatego też zajmuję się najstarszą historią Ziemi i życia — niezależnie od tego, czy jest to dobre lub złe, ale wypełnia mi życie bez reszty. Oczywiście może nawet szkoda, że nie jestem fizykiem i nie tworzę w tej chwili tego, co jest najważniejsze, ale chodzi o odpowiednie skombinowanie moich

zdolności i zainteresowań ze sprawami, które mogą przynieść największy efekt, jeżeli będą harmonizować z obroną przeze mnie drogą. A najwięcej powinniście bać się zwątpienia, obojętności, połowiczności i pytań—a czy warto, a po co? Bo wtedy nie będziecie warci nawet grosza!

Poza tym nie należy umniejszać znaczenia naszej nauki. Jej „jutrzejszy dzień” nastąpi może później niż w innych dziedzinach wiedzy, ona stanie się niezbędną dopiero wtedy, kiedy będziemy mogli wręcz przystąpić do badań nad człowiekiem. Nasz organizm — jest historyczną, najbardziej skomplikowaną kombinacją ewolucyjnych nawarstwień, poczynając od ryby aż do najwyższych ssaków. Zrozumienie we właściwy sposób biologii człowieka jest niemożliwe bez poznania całej drabiny ewolucyjnej. Od tego zaś zależy całkowicie medycyna przyszłości, zachowanie człowieka, jako gatunku i jeszcze wiele innych spraw. Obecnie zagadnienia te są jeszcze bardzo dalekie od nas, ale stają się bliższe z każdym dniem. Dla tych zagadnień szukamy dokładnych podstaw naukowych. Porzucić naszych badań nie wolno także dlatego, że człowiek, który buduje przyszłość, powinien posiadać ogólny poziom kultury, dużą wiedzę i szerokie horyzonty. Nauka rządzi się własnymi prawami rozwoju, które nie zawsze zbiegają się z praktycznymi potrzebami dnia dzisiejszego. I dlatego uczony nie może być wrogiem współczesności, ale nie może tkwić tylko w współczesności. Musi przodować, gdyż w przeciwnym razie będzie tylko biurokrata. Bez teraźniejszości — jest fantasta, bez przyszłości — wyrazicielem tępoty. A przecież już Piotr Wielki rozumiał to doskonale. Przypomnijcie sobie jego zarządzenie dotyczące obowiązku zbierania kości wykopaliskowych, a działo się to w tamtych czasach w biednym, niekulturalnym kraju.

Dawydow zgasił papierosa i przez nieuwagę rzucił na podłogę. Aspiranci nie spostrzegli tego. Żenią przechyliła się poprzez stół patrząc na Dawydowa. Tamara stała ze zwycięsko podniesioną głową, a Michał posepnie opuścił oczy.

— Teraz rozpatrzmy tę sprawę z innej strony — kontynuował Dawydow. — W tym wypadku również nie należy przesadzać. Siła broni atomowej jest ogromna, ale w żadnym razie nie jest absolutna. Mówić o niebezpieczeństwie grożącym cywilizacji i bezradnie opuszczać ręce — nie wolno — tak postępują niektórzy inteligenci na Zachodzie, starając się w ten sposób usprawiedliwić swoją beczynność. Obecnie technika znacznie wyprzedza tam osiągnięcia kulturalne. Ludzie zdobywają wciąż większą władzę nad przyrodą, zapominając o konieczności wychowania i przekształcenia człowieka, który często nie bardzo wyprzedza swoich przodków jeśli chodzi o stopień świadomości społecznej. A wy,

młodzież radziecka, chcecie być orędownikami kultury, chcecie walczyć o przyszłe szczęście ludzkości. Musicie więc wierzyć w przyszłość naszego kraju i bez wahania iść po obranej drodze! Możliwe, że grozi nam nowa wojna, choć wątpliwe jest, by to nastąpiło szybko; wojna ta będzie decydującym zderzeniem starego świata z nowym. Wykonując dalej naszą pracę, będziemy walczyć o naszą kulturę. Jest to szlachetny cel — bronić ją przed barbarzyństwem uzbrojonym podług ostatniego słowa techniki. A następnie, czy wyobrażacie sobie, czym w danej chwili jest energia atomowa? — Większość pierwiastków spośród dziewięćdziesięciu dwóch posiada bardzo a bardzo trwałe jądra. Ażeby je rozbić, należy zużyć energię większą od tej, jaką otrzymalibyśmy z ich rozpadu. I to nie jest przypadek. W okresie miliardów lat, kiedy tworzyła się substancja naszej planety, zarówno jak i innych planet, w procesach przemiany materii gwiazdnej zaszedł jakby dobór — wszystko, co było nietrwale, rozpadło się, niejako przepaliło, przeszło w formy bardziej stałe. Mniej stałe w stosunku do rozpadu są pierwiastki początkowe tablicy Mendelejewa ^{*15} aż do tlenu, zwłaszcza lit, beryl, bor, węgiel. Ale maszyna atomowa, której praca opierać się będzie na tych pierwiastkach, działać będzie tylko przy użyciu kolosalnych mas materii, przy olbrzymich temperaturach i ciśnieniach. W gwiazdach te właśnie pierwiastki stanowią podstawę ich energetyki. Na razie nie możemy ich wykorzystać i według mego zdania nie prędko potrafimy to uczynić, gdyż potrzebne są specjalne warunki ilościowe, aby nastąpiły ich reakcje łańcuchowe. Obecnie możemy wykorzystywać reakcje łańcuchowe w pierwiastkach umieszczonych na końcu tablicy Mendelejewa, mianowicie tych, które posiadają największy ciężar atomowy. To także nie jest przypadkiem — gdyż najcięższe pierwiastki są ogromnie bogate w neutrony ^{*16} i łatwo podlegają rozpadowi powodując łańcuchową reakcję neutronową ^{*17} — jedyną, jaką możemy w danej chwili technicznie wykorzystać. A rozpadowi tego nie należy wyobrażać sobie jako zupełnego rozpadu całego atomu. Atom ciężkiego pierwiastka rozpada się jakby na dwie części, a każda z nich tworzy trwałe pierwiastki, znajdujące się w środku tablicy Mendelejewa. Przy tym wyzwala się częściowo energię, która jest energią bomby atomowej. Oczywiście, że do całko-

¹⁵ * **Tablica Mendelejewa** — układ pierwiastków chemicznych w kolejności rosnących ciężarów atomowych.

¹⁶ * **Neutron** — składowa część jądra atomowego, nie naładowana elektrycznością, posiadająca taką samą masę jak proton — dodatnio naładowana cząstka jądra.

¹⁷ * **Neutronowa reakcja łańcuchowa** — jest to reakcja łańcuchowa, która odbywa się na skutek wydzielania się neutronów z rozpadających się jąder atomów.

witego rozpadu jest jeszcze bardzo daleko i niemniej daleko jest do reakcji łańcuchowej pierwiastków trwałych.

Na razie nasze opanowanie energii atomowej sprowadza się do niecałkowitego jeszcze opanowania właściwości najcięższego pierwiastka — uranu — ostatniego w tablicy — do rozpadu na dwa lżejsze pierwiastki. To jednak nie jest jeszcze opanowanie energii każdej substancji, jak wy sobie to wyobrażacie. Uran, według swego położenia w tablicy, znajduje się na samym krańcu naturalnych pierwiastków trwałych. Wiecie o tym, że można zwiększyć ciężar atomowy uranu i otrzymać sztuczne pierwiastki, które wybiegają poza granicę tablicy — neptun i pluton, dziewięćdziesiąty trzeci i dziewięćdziesiąty czwarty pierwiastek. Uran można zamieniać dalej, tworząc dziewięćdziesiąty piąty i dziewięćdziesiąty szósty — ameryk i kiur, itd. do setnego i wyższego numeru. Wszystkie one są nietrwałe, podlegają połowicznemu rozszczepieniu. Energia połowicznego rozpadu plutonu stanowi wybuchową siłę bomb atomowych, tak samo jak energia nietrwałej formy uranu — tak zwanego izotopu ²³⁵U — dwieście trzydzieści pięć. Bez wątpienia w kosmicznych procesach przemiany materii istniały dawniej pierwiastki cięższe niż uran, które następnie jednak przeszły w stałe formy podstawowych dziewięćdziesięciu dwóch pierwiastków. Dlatego uran możemy rozpatrywać jako pozostałość tych „ultracieżkich“ pierwiastków, a zachował się on dlatego, że był w stanie rozproszonym, poza tym znajdował się w górnych warstwach skorupy ziemskiej, gdzie przy niewysokich temperaturach i niedużym ciśnieniu jest pierwiastkiem niemal trwałym. Uran i prawdopodobnie drugi zbliżony do niego ciężki pierwiastek, tor, pozostaną na długo podstawą energii atomowej, gdyż między wykorzystaniem zdolności uranu do połowicznego rozpadu i wykorzystaniem energii substancji innych pierwiastków istnieje głęboka przepaść i jest wątpliwe, czy prędko będziemy ją mogli przekroczyć. Ale uran i tor — są to pierwiastki nader rzadkie, a Zapasy ich w świecie są bardzo nieznaczne. Dlatego na razie nagromadzone zapasy substancji wybuchowych dla bomb atomowych i pocisków odrzutowych są bardzo nikłe.

— Do telefonu, Ilja Andrejewiczu. — Prosi międzymiastowa! — rozległ się głos za drzwiami.

— Zaraz, zaraz! — Dawydow zmarszczył czoło. — Ale, oto co chciałem wam opowiedzieć o energii atomowej... Uranu jest niewiele, jego zapasy mogą być zużyte bardzo szybko. Dlatego spoglądając w przyszłość powinniśmy zdobyć

¹⁸ * I z o t o p — pierwiastek chemiczny, którego masa atomowa różni się od masy zwykłego pierwiastka, który jednakże zajmuje w tablicy Mendelejewa jednakowe z nim miejsce.

ogromne zapasy tego drogiego pierwiastka. I my...—Profesor nagle umilkł, potarł skronie i patrzył nieruchomym spojrzeniem ponad głowy swoich interlokutorów. — Ogromne zapasy uranu... Resztki pozostałe podczas kształtowania się planety — cicho wyszeptał Dawydow. — Ech, do stu tysięcy diabłów! Tak...

Profesor jakby się zakrztusił i szybko wyszedł z pokoju aspirantów.

— Cóż to się zdarzyło z Ilją Andrejewiczem? — wykrzyknęła Tamara, przerywając ogólne, pełne zdumienia milczenie. — Mogę przysiąc, że omal nie wypowiedział jakiegoś przekleństwa.

— Cóż ty wymyślasz, Tamaro — z oburzeniem odpowiedziała Żenia. — Po prostu przerwali mu i ten nieszczęsny telefon wszystko popsuł... A jak ciekawie mówił.

— Zapewniam cię, że coś się z nim stało. Z twojego miejsca nie mogłaś go dobrze obserwować. Zmienił się na twarzy, jakby ujrzał ducha.

— Zupełnie słusznie, Tamaro — przytaknął Michał — ja także to zauważyłem. Może mu przyszła do głowy jakaś ciekawa myśl.

Przypuszczenie Michała było słuszne. Dawydow szedł korytarzem i wszystkie jego myśli skoncentrowały się dookoła powstałego nagle przypuszczenia. Uczony przeniósł się myślami do okresu sprzed dwóch lat, kiedy pod wrażeniem strasznej fali, która spustoszyła wyspę, wpatrywał się z pokładu w głębiny oceanu i w mózgu jego formowała się nieśmiała myśl o siłach, które wywołują ruchy skorupy ziemskiej. Od tej chwili bez przerwy dobierał fakty i rozmyślał, przechodząc stopniowo od tych współczesnych zjawisk do bardziej potężnych w czasie i przestrzeni procesów tworzenia się gór w przeszłości. I czy obecnie sam los nie daje mu do ręki dowodów słuszności jego przypuszczeń?

Dawydow wziął słuchawkę. Odpowiedzi nie było, ale on machinalnie wciąż przyciskał słuchawkę do ucha i myślał o swoich sprawach. Dwadzieścia lat dręczyła Dawydowa zagadka pół śmierci dinozaurów w Azji Środkowej. Wzdłuż podnóża Tiań-Szania ciągną się gigantyczne skupienia kości ogromnych jaszczurów. Miliony okazów w różnym wieku leżą pogrzebane na tych cmentarzyskach. Ale dawniej cmentarzyska te były jeszcze większe, gdyż obecnie mamy do czynienia z ostatnimi miejscami, w których one występują. Zostały one rozmyte w okresie trzeciorzędowym *¹⁹ w czasie dalszego wznoszenia się gór. Co mogło wywołać taką masową śmierć tych istot, i to właśnie w tym miejscu? Wszak nie wymierały z jakichś nieznanych przyczyn! Nie, masowa zagłada dinozaurów

¹⁹ * Okres trzeciorzędowy — jest to okres, który nastąpił bezpośrednio po okresie kredowym, a w historii Ziemi trwał około pięćdziesięciu dziewięciu milionów lat i zakończył się na milion lat przed naszą erą.

zbiegła się z początkiem wielkiej alpejskiej epoki górotwórczej, kiedy podniosły się szczyty: Tiań-Szań, Himalaje, Kaukaz i Alpy. Zbiegła się również w przestrzeni terytorialnie. Wówczas, przed siedemdziesięciu milionami lat, w końcu okresu kredowego, grzbiety te powoli wyginały się w rzędy równoległych fałdów zupełnie tak, jak to się dzieje obecnie na Oceanie Spokojnym. Różnica tkwi w tym, że fałdy tienszańskiego okresu kredowego tworzyły się nie na Oceanie, lecz na kontynencie, na skraju morza, i przestrzeń ta była zamieszkała przez zwierzęta lądowe. Poza tym w epoce kredowej tworzenie się fałdów skorupy ziemskiej odbywało się w większej aniżeli obecnie skali. Te same procesy tworzenia się gór wtedy i obecnie zachodzą pod wpływem sił powstałych z rozpadu uranu w głębinach skorupy ziemskiej albo, ściślej mówiąc, pod wpływem rozpadu pierwiastków ciężkich w ogólności. Jeżeli to przypuszczenie jest słuszne, to nie ma nic niemożliwego w tym, że energia reakcji łańcuchowych w niektórych okolicach w pewnych momentach przedostawała się na zewnątrz, chociażby w postaci potężnego promieniowania. Wytworzyła się obszerna przestrzeń, niosąca w ciągu tysięcy kilometrów śmierć wszystkiemu, co żyło, i tutaj właśnie zwierzęta ginęły milionami, przybywając wciąż z bezpiecznych połaci ziemi.

Nic oczywiście nie mogło uprzedzić pozbawionych mózgu jaszczurów o grożącej im, nieuniknionej zagładzie. W okresach rozmywania przez wodę drobne pozostałości nie zachowały się, natomiast ogromne, mocne kości dinozaurów zostały, jeszcze teraz zadziwiając nas swoimi rozmiarami i nadzwyczajną ilością. Taki zbieg okoliczności nie jest przypadkowy!...

A jeśli i ten drugi zbieg okoliczności nie jest przypadkowy? Dlaczego ślady gwiazdnych przybyszów znaleźliśmy także w okolicach górzystych wzniesień tamtego okresu?

Potężne promieniowanie, śmiertelne dla dinozaurów, można oczywiście uchwycić za pomocą przyrządów. Jeżeli „oni“ błakali się tam, gdzie tysiące lat później rozpoczęło się masowe wymieranie dinozaurów, czy nie oznacza to, że szukali źródeł energii atomowej... może była im potrzebna dla powrotu na swoją planetę... ale jeśli tak było — do diabła — z tego można wysnuć dwa bardzo ważne wnioski: Musimy szukać śladów tych przybyszów z gwiazd, tych gości z nieba na Ziemi, właśnie tutaj, wzdłuż Tiań-Szania i Himalajów — najmłodszych górskich okolic Ziemi. Właśnie tam, gdzie ich szukaliśmy i szukamy! I drugie — jeśli procesy tworzenia się gór i działalność wulkaniczna powstają dlatego, że w skorupie ziemskiej od czasu do czasu tworzą się koncentracje uranu lub innych ciężkich pierwiastków, w których występują reakcje łańcuchowe, to można się spodziewać, że istnieje możliwość znalezienia pozostałości tych koncentracji w

dostępnych dla nas głębinach skorupy ziemskiej na odnośnych terenach geograficznych. Gdyby mi się udało znaleźć ślady niebiańskich gości właśnie w miejscach, gdzie tworzą się góry, to miałbym pewność, że...

— Proszę mówić! — rozległ się nagle w słuchawce głos — łączę z Alma-Atą!

Dawydow drgnął, potok myśli został nagle powstrzymany. Alma-Ata mogła podać ważne wiadomości, z miejsca budowy kanałów.

Daleki, ale wyraźny głos wymówił jego imię. Dawydow poznał sekretarza Instytutu Geologicznego.

— Ilja Andrejewiczu, rano dzwonił Starożyłow z budowy 5. Znalezione tam szkielety dinozaurów, uszkodzone czy też nieuszkodzone, tego nie mogłem zrozumieć, gdyż źle było słyhać. Starożyłow prosił, abym się z wami połączył. Uważa wasz przyjazd za konieczny. Co mam mu zakomunikować?

— Proszę zawiadomić go, że wyjeżdżam jutro samolotem — powiedział szybko Dawydow.

— Mam jeszcze dwie sprawy — mówił dalej sekretarz. — Ale skoro przyjeżdżacie tutaj, omówimy to na miejscu. A zatem oczekujemy was. Pozdrowienia dla wszystkich!

— Bardzo dziękuję! — radośnie krzyknął Dawydow. — Ukłony dla wszystkich, do zobaczenia!

Dawydow pośpieszył do Kolcowa i poprosił administratora, ażeby zamówił bilet lotniczy.

Rozdział III

Oczy rozumu

Droga wiła się brzegiem wąskiej rzeczki. Wysokie ściany wąwozu krzyżowały się w oddali swoimi pochyłościami, które opadały stromo z prawej i lewej strony ku rzece.

Najbliższe urwisko czerniło się surowo w zacienionym pasie z lewej strony. Jodły jak strzały ustawiły się szeregiem wzdłuż zębatej, skalnej ściany. Wznoszące się pochyłości wydawały się u góry coraz jaśniejsze, a najdalsze okryte były jakby lekką, perłową mgłą. Nieco na uboczu wznosił się okryty śniegiem występ, który przechodził w potężny grzbiet górski, śnieg osuwał się wydłużonymi, białymi pasmami po jego szarych, kamienistych zboczach, a na wierzchołku, gdzie olśniewająco biała warstwa śniegu wygładzała występy skał — wielki biały obłok powoli, jak biała łódź, włókł się po śnieżnej przełęczy górskiego grzbietu.

Droga okrążyła strome urwisko i zaczęła się wznosić ku przełęczy, garbiąc

się i wyginając. Maszyna rozgrzewając się wyla; dał czysty, zimny wiatr, wdzierając się w szpary na wpół otwartych szyb.

Dawydow nie spostrzegł, jak minęli przełęcz, raczej odgadł to nie słysząc więcej szumu motoru. Maszyna pomknęła w dół, tam, gdzie otwierała się równa jak stół dolina, okrążona potrójnym łańcuchem występów górskich.

Na dole, wyżłobione fantastycznymi wypłuczyskami lub podnoszące się w postaci wysokich wieżyczek i zaokrąglonych kopuł, ciągnęły się czerwone piaskowce i glina. Drugi występ masywnych skał był jakby najeżony pasmami jodeł, które wydawały się czarne na szaro-fioletowej powierzchni zbocza. W wysokości zaś, połyskując zwyczajnie swoją nieprzystępną bielą, ciągnął się zębaty łańcuch górski, niby mur ochronny olbrzymiego zamku, który broni doliny.

A tam, na dole widać było wyraźną bruzdę, która pruła równy step, nasyp olbrzymiej tamy, zwały ziemi, głębokie kotliny, domki, osiedla i rzędy długich, białych namiotów.

Dawydow przyzwyczał się już do widoku ogromnego budownictwa, które na początku zdumiewało go, ale obecnie ze wzruszeniem patrzył na ażurowe sploty rusztowań konstrukcji betonowych. Tutaj widocznie mieściła się centralna elektrownia wodna. Przy odsłonięciu warstw znaleziono szkielety dinozaurów; było to cmentarzysko, powstałe jeszcze wtedy, kiedy dookoła nie było tych wysokich gór. Góry te podniosły się później — powstały na skutek potężnych reakcji atomowych, które odbywały się w głębinach skorupy ziemskiej. Ale promieniowanie mogło się przedostać tutaj i mogło właśnie sprowadzić gwiazdnych przybyszów, poszukujących energii atomowej.

Maszyna zatrzymała się koło długiego, białego domu.

— Jesteśmy na miejscu, towarzyszu Dawydow — powiedział szofer otwierając drzwiczki. Zdrzemnęliście się trochę? Droga dobra, pospać można...

Dawydow ocknął się, wyszedł z samochodu i ujrzał Starożyłowa, który w pośpiechu szedł ku niemu. Twarz badacza, o wystających kościach policzkowych, zarosła aż do oczu gęstą szczeciną, szare ubranie robocze całe okryte było żółtym kurzem. Błękitne oczy jego błyszczały radośnie.

— Naczelniku (kiedy Starożyłow był jeszcze studentem dużo podróżował z Dawydowem i od tego czasu uporczywie nazywał go naczelnikiem, podkreślając przez to jak gdyby swoje prawo do przyjaźni zawartej w czasie wspólnych wędrówek) — możliwie, że ucieszę pana! Długo czekałem i doczekałem się! Proszę odpocząć, zjeść coś i pojedziemy. To są ostatnie odsłonięcia warstw z południowej strony o kilometr stąd.

— Ależ nie jestem wcale zmęczony. Jedźmy natychmiast. — przerwał Dawydow. Starożyłow uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Doskonale, naczelniku! — krzyknął wsiadając do auta i usiłując nie spostrzeżać niezadowolonego szofera, który spoglądał na niego z ukosa, wyraźnie nie dowierzając czystości jego ubioru.

— Jak tylko usunęliśmy ogromną warstwę eolicznego *²⁰, ubitego piasku — pośpiesznie opowiadał Starożyłow — natychmiast natknęliśmy się na szczątki dinosaurów. Na początku znaleźliśmy kilka rozrzuconych kości, potem odkryliśmy ogromny szkielet monoklona *²¹, który się cudownie zachował. Okazało się, że czaszka jego przebita jest na wylot, właśnie na wylot. I cóż na to powiecie, Ilja Andrejewiczu... wąziutki, owalny otworek!

Dawydow zbladł, kąciki jego ust drgały nerwowo.

— I co dalej? — wyksztusił wreszcie.

— Dalej na dużej przestrzeni nie napotkaliśmy na nic więcej, a przedwczoraj, przy samej granicy wykopu, znaleźliśmy stos kości, nie były to jednak przypadkowe kości, raczej odnosi się wrażenie, że są to części kilku szkieletów. Dziwne: kości mięso i trawożernych leżą razem. Określiłem to podług tylnej łapy ogromnego karnosaura *²², obok którego sterczą kopyta jakiegoś ceratopsa *²³. Niektóre kości są pogruchotane jak od uderzenia potężnej siły. Nie mogłem się zdecydować na rozkopywanie tego stosu bez was... Tutaj, na prawo, tam zjeżdża się aż do dna — zwrócił się Starożyłow do szofera — i na lewo.

Po kilku minutach Dawydow pochylił się nad ogromnym szkieletem, którego białe kości wyraźnie odcinały się na tle żółtego piasku. Starożyłow starannie oczyścił go od góry, polakierował w celu ochrony przed uszkodzeniem i zostawił w tym stanie do przyjazdu Dawydowa.

Dawydow przeszedł obok wyciągniętego ogona i kurczowo skręconych łap i uklęknął przed potworną ogromną głową z długim na kształt sztyletu rogiem, który koronował pysk potwora, podobny do jakiegoś ogromnego dzioba. Pierścienie kostne dla ochrony oczu, które zachowały się w pustych oczodołach, nadały potworowi wyraz na zawsze zastygłego okrucieństwa.

Wkrótce profesor odnalazł poniżej lewego oka owalny otwór, znany mu już z kości w Sikanu, które przysłał Szatrowowi Tao-Li. Otwór przebijał czaszkę na

²⁰ * **Eoliczny** — powstały na skutek przeniesienia przez wiatry.

²¹ * **Monoklon** — jednorogi okaz roślinożernych rogatych dinosaurów.

²² * **Karnosaur** — drapieżny dinozaur.

²³ ** **Ceratops** — ogólna nazwa rogatych roślinożernych dinosaurów.

wylot, tylny otwór leżał na ciemieniu, poza prawą orbitą, która jeszcze znajdowała się w skałach.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że „oni“ byli tutaj! Decyzja prowadzenia poszukiwań w granicach Związku Radzieckiego była słuszna! Ale jakie jeszcze ślady przybyszów mogą być wykryte i czy pozostały w ogóle jakieś ślady?

Dawydow obejrzał skraj tego miejsca, na którym były zgromadzone szkielety, znalezione w ścianie wykopu. Na tych kościach, które były już odkopane, nie znaleziono śladów ran. Złamania, o których wspominał Starożyłow, nastąpiły już widocznie po śmierci. Kości zostały złamane już po pogrzebaniu w piaskach, które nastąpiło na skutek osiadania i zgęszczenia mas skalnych, jak to się często zdarza.

Dawydow zarządził, aby usunięto masy skalne ponad skupiskiem kości i zabrano się od razu do ich oczyszczenia na całej przestrzeni skupiska.

— Należałoby to objąć jak najszerzej, ażeby można było opisać dookoła kontury — ze zwątpieniem w głosie powiedział profesor — ale my po prostu nie mamy środków na wykopanie takiej ogromnej przestrzeni. Tu trzeba wyrzucić co najmniej pięć tysięcy metrów sześciennych ziemi.

— Niepotrzebnie się martwisz, naczelniku! — szeroko uśmiechnął się Starożyłow. — Robotnicy tak są zainteresowani znalezieniem tych rogatych „krokodyli”, jak je nazywają, że sami zaofiarowali swą pomoc w tym, aby „rozkopać odpowiedzialnie” to miejsce. Właśnie w ten sposób wyraził się pewien brygadier, gdy wysłuchał mego wykładu. Pojutrze jest niedziela i do kopania wyjdzie dziewięciuset ludzi.

— Dziewięciuset! Przeklęta siła! — krzyknął Dawydow.

— Nie, nie przeklęta, po prostu siła! — dumnie odpowiedział Starożyłow.

— Administracja daje nam do dyspozycji sześć ekskawatorów, przenośniki, ciężarówki — jednym słowem wszystko, co będzie potrzebne. Przeprowadzimy takie odsłonięcia warstw, jakich jeszcze świat nie widział.

Profesor zaklął z zachwytem. Praca w całej swej potędze szła z pomocą nauce bezinteresownie i z zapalem. Dawydow poczuł nadzwyczajną pewność i wiarę w powodzenie swoich poszukiwań. Dziesiątki tysięcy ton ziemi, która kryła w sobie tajemnice nauki, nie wydawały się już tak straszne. Dawydow zapomniał o wszystkich swoich zwątpieniach, trudnościach, niepowodzeniach i poczuł w sobie niezwykłą moc. Przy takiej pomocy potrafi zmusić do odpowiedzi te bezwładne masy piasków, które martwo leżały siedemdziesiąt milionów lat... Dawydow nawet nie pomyślał, że prace te mogą się okazać bezowocne, że mogą mu nie dać odpowiedzi ani sposobności znalezienia śladów gwiazdnych przybyszów.

Zwłaszcza teraz, kiedy w odległości stu pięćdziesięciu metrów leżał szkielet jaszczura, zabitego bronią ludzką...

— Naczelniku, proszę oznaczyć przestrzeń do odsłonięcia! — rozległ się głos Starożyłowa. — Proszę wziąć pod uwagę, że granica eolicznych piasków ciągnie się ukośnie, przebiegając z północno-zachodu na południowy wschód. Bardziej na lewo wbija się klinem pasmo piasków pochodzenia rzecznego.

Profesor wszedł na pochyłość wykopu i długo coś obmyślał, wyliczając i patrząc na kawałek stepu, który ciągnął się do stóp góry.

— Może zrobimy kwadrat poczynając od tamtego słupa na prawo i kończąc tutaj?

— Wtedy lewy kąt zaczepi o piaski rzeczne — odpowiedział Starożyłow.

— Doskonale! Właśnie tego chcę, abyśmy przeszli brzegiem dawnego potoku. Obok miejsca, gdzie ongiś była woda... A więc zaczynamy odmierzać i ustawiać słupki. Czy macie przy sobie taśmówkę?

— Po co taśmówka? Odmierzmy krokami, nie skąp, naczelniku! Zdjęcia terenu zrobimy po wykopaniu.

— Postaram się nie skąpić — uśmiechnął się profesor na myśl o zapale współpracownika. — Zaczynamy. Proszę więc iść do tamtego pagórka... Chciałbym jeszcze dzisiaj zatelegrafować do profesora Szatrowa.

*

* *

Na miejscu, gdzie przed dwunastu dniami Dawydow z pomocnikami odmierzał krokami pagórkowaty, porośnięty piołunem step, obecnie rozpościerał się ogromny, na dziewięć metrów głęboki wykop. Wicher kręcił w nim słupy kurzu, które unosiły się z wygładzonej mocno ubitej powierzchni kredowych piasków. Wzdłuż wschodniego skraju wgłębienia żółty kolor skał przechodził w szary, jakby stalowy. Starożyłow biegał tam i z powrotem wydając rozkazy zastępowi swoich pomocników, którzy przekopywali piasek i oczyszczali znalezione szkielety. Dawydow zaweźwał z Moskwy wszystkich preparatorów Instytutu oraz czterech swoich aspirantów, odwołał, z budowy numer dwa, jednego naukowca. Trzydziestu robotników pod kierunkiem dziesięciu specjalistów zagłębiało się w pokłady piasków, zawierających kości, przesuując się wciąż bliżej i bliżej ku granicy szarych skał, gdzie napotykali jedynie na odłamki kości i ogromne skamieniałe pnie iglastych drzew.

Słońce okrutnie prażyło z góry, piasek był gorący, ale ludzie nie zwracali na to uwagi, pochłonięci swoją pracą.

Dawydow opuścił się do leja i przystanął obok wielkiego skupiska kości, które zauważył jeszcze w wykopie. Tam znaleźli szkielety sześciu dinozaurów, których kości były pomieszczone. W odległości sześćdziesięciu metrów na wschód został odnaleziony szkielet olbrzymiego drapieźnika, który leżał samotnie niedaleko granicy piasków rzecznych. Obok tego szkieletu znaleziono jeszcze trzy szkielety drapieżnych jaszczurów — mniej więcej wielkości psa. Dalej w całym leju niczego więcej nie znaleziono, nie było też przedziurawionych kości, przestrzelonych tajemniczą bronią. Dawydow z trwogą oglądał rozkopaną część leja, jak gdyby obliczał szanse, jakie mu jeszcze pozostały.

— Ilja Andrejewiczu, proszę zbliżyć się do nas — rozległ się głos Żeni. — Znaleźliśmy żółwia.

Dawydow odwrócił się i powoli poszedł w kierunku szkieletu drapieżnego dinosaura. Żenia z Michałem już drugi dzień odkopywali i oczyszczali ogromną głowę z otwartą paszczą, zapełnioną okropnymi, zagiętymi zębami. Żenią podniosła się na spotkanie profesora, zmarszczyła się od bólu w zdrętwiałych nogach, ale natychmiast uśmiechnęła się wesoło. Biała chusteczka podkreślała opaleniznę jej twarzy, na której błyszczały kropelki potu.

— Tutaj! — powiedziała Żenia wskazując w głąb jamy instrumentem, służącym do preparowania. — Żółw! Leży prawie zupełnie pod czaszką! Proszę do nas! — Dziewczyna lekko skoczyła na dół. — Oczyściłam pancerz żółwia — mówiła dalej Żenia. — Jest bardzo dziwny, o jakimś perłowym połysku, i rzeźba na pancerzu jest niezwykła.

Dawydow z trudem pochylił swoje masywne ciało w ciasnym rowie, zaglądając pod olbrzymią czaszkę drapieżnego dinozaura. Z wilgotnej i dlatego ciemniejszej skały wystawała mała kopuła o średnicy około dwudziestu centymetrów. Powierzchnia tej kopuły pokryta była ornamentem utworzonym z wgłębień i rowków, które zachowały ślady układu promienistego. Kolor kości był niezwykły — ciemnofioletowy, prawie czarny — i bardzo wyraźnie odbijał od białych kości czaszki dinozaura. Niezwykły był również perłowy połysk tej dziwnej, gładkiej, jakby polerowanej kości, która świeciła matowo w cieniu na dnie jamy.

Wszystko rozplynęło się przed oczyma Dawydowa. Stękając zbliżył twarz do dziwnego znaleziska i zaczął z największą ostrożnością koniuszkami palców oczyszczać je z piasku. Profesor zauważył pomiędzy oddzielnymi kośćmi szew, który przechodził środkiem kopuły, i drugi, który przecinał ją w poprzek, bliżej jednego końca.

— Zawołajcie Starożyłowa, prędzej! — zawołał Dawydow podnosząc twarz nabiegłą krwią. — I robotników dawajcie!

Zdenerwowanie uczonego udzieliło się Żeni. Dźwięczny głos dziewczyny rozległ się ponad rozkopanymi piaskami. Starożyłow przybiegł błyskawicznie, jak się zdawało Dawydowowi, który był pogrążony w kontemplacji dziwnego przedmiotu.

Cierpliwie, powoli, delikatnie, profesor i jego współpracownik zaczęli usuwać skałę dookoła ciemnofioletowej kopułki. Z boku kość nie poszerzała się, ścianki kopuły stawały się pionowe i przybierały kształt nieprawidłowej, lekko ściśniętej półkuli. Dawydow, który oczyszczał swoją stronę, poczuł nagle, że igła preparatorska pogrążyła się w podatną miękkość piasku, jak gdyby w tym miejscu już nie było kości. Przez pewien czas profesor badał granice, aż wreszcie zdecydował się i obrotowym ruchem igły szybko rozsunął ziemię. Piasek zmieciono miękkim pędzlem. Dolny skraj kości był zaokrąglony i pogrubiony dwoma szerokimi łukami, które wcinały się w ścianę półkuli.

Z szerokiej piersi Dawydowa wyrwał się ryk, na dźwięk którego wszyscy współpracownicy drgnęli.

— Czaszka! Czaszka! — zaryczał profesor, śmiało wglębając w skałę swój instrument.

Rzeczywiście, oczyszczone z osadu skalnego ogromne, puste oczodoły zaznaczały się zupełnie wyraźnie. Dalej uwidoczniono się szerokie i wypukłe czoło.

Zagadkowa kopuła była po prostu górną częścią czaszki, podobnej do ludzkiej, nieco większej aniżeli u przeciętnego człowieka.

— Wreszcie wpadł w nasze ręce ten niebiański zwierz albo też człowiek! — z bezgranicznym zadowoleniem powiedział profesor, z wysiłkiem prostując się i pocierając skronie.

Poczuł zawrót głowy i ciężko osunął się na ścianę jamy. Starożyłow pośpiesznie schwycił profesora za łokieć, ale ten odsunął go niecierpliwie.

— Do dzieła! Przygotujcie duże pudło, watę, klej — czaszkę należy jak najszybciej wyjąć. Widocznie jest bardzo trwała. Szukajcie dalej, w głębi powinny być kości szkieletu, jego szkieletu! Niechaj robotnicy odsłaniają kolejno wszystkie skały. Szkielet dinozaura należy natychmiast rozłożyć i zabrać. Proszę przekopać wszystko — każdy centymetr przestrzeni. Cały piasek należy przesiać.

*

* *

Szatrow siedł wzdłuż korytarza instytutu nie odpowiadając na przywitania napotkanych pracowników. Znalazł się obecnie przed tymi samymi drzwiami, przez które wchodził z pudłem Tao-Li przed dwoma i pół laty. Ale obecnie Sza-

trow nie przystanął u wejścia, nie uśmiechał się chytrze, myśląc o tym, jak oszłomi przyjaciela niespodziewanym przyjazdem. Z poważną, pełną skupienia twarzą wbiegł prosto do gabinetu.

Dawydow natychmiast odłożył papiery, na których robił jakieś wyliczenia.

— Jesteś po prostu kurierem dyplomatycznym! — zawołał tubalnym głosem. — Taka szybkość jest u ciebie po prostu nieprzyzwoita... Kiedyż to otrzymałeś mój list z opisem wszystkich szczegółów dotyczących znalezionej przez nas czaszki?

— Wczoraj rano. Wyjechałem o piątej. Ale przysięgam, że jestem bardzo urażony. Czy nie można było zawiadomić mnie wcześniej? Po co było pisać post factum? Szalałeś po prostu żądając ode mnie opisu przypuszczalnego wizerunku niebiańskiego zwierzęcia, a kiedy go wreszcie znalazłeś, to milczałeś aż do końca. — Szatrow rozgniewany wzruszył ramionami i zaczął biegać po gabinecie.

— Proszę, nie gniewaj się, Aleksy Pietrowiczu. Ja także chciałem poza tym zrobić ci niespodziankę. Cóż z tego, gdybyś nawet wiedział o tym o dwa tygodnie wcześniej. Denerwowałbyś się tylko i dręczył czekając niecierpliwie w swoim Leningradzie.

— Przyjechałbym tu, słowo daję! — z gniewem krzyknął Szatrow.

— Przyjechałbyś? — zdumiał się Dawydow. — Oglądać odsłonięcie warstw? Widzę, że zupełnie się zmieniłeś, nawet nie przypuszczałem...

Szatrow nie wytrzymał i uśmiechnął się.

Zresztą tak jest lepiej, drogi przyjacielu. Za to zobaczysz w tej chwili niebiańską bestię. — Dawydow podszedł do szafy wesoły i tryumfujący. — Jak zwykleś mówić — O key! — Dawydow pociągnął drzwiczki, które otworzyły się...

— Zaczekajcie, Ilja Andrejewiczu! — krzyknął Szatrow. — Proszę poczekać i zamknąć!

Zdumiony Dawydow posłusznie zamknął szafę.

— Nie zdążyłem ci przysłać listu z opisem swoich hipotez — wyjaśnił Szatrow — ale teraz gotów jestem pocierpieć jeszcze kilka minut, by je przeczytać, zanim ujrzę czaszkę niebiańskiego przybysza. To będzie bardzo ciekawy sprawdzian jak dalece rozum nasz zdolny jest do przewidywania oraz do jakiego stopnia słuszna jest metoda analogii, opartych na prawach, rządzących naszą planetą — także dla innych światów.

— Doskonały pomysł! Proszę!

I Dawydow, jakby dla większej pewności, zamknął szafę na klucz i podszedł do stołu. Szatrow wy dostał duże arkusze papieru, zapisane równym, dość dużym, wyjątkowo wyrazistym charakterem pisma.

— Nie będę czytał wszystkiego, gdyż nie mam cierpliwości — przyznał się. — Przejrzemy tylko ogólne wnioski. Czy pamiętasz, zgodziliśmy się kiedyś z tym, że ogólny schemat zwierzęcego życia, oparty na cząsteczce białka i energii reakcji tlenowych, musi być taki sam w całym wszechświecie. Doszliśmy również do wniosku, że substancje, z których składają się organizmy, wykorzystane są nie przypadkowo, ale wskutek swego rozpowszechnienia i swoich właściwości chemicznych. Zgodziliśmy się także z tym, że planeta, która najbardziej nadaje się do życia w dowolnym systemie planetarnym — powinna być podobna do naszej Ziemi. Przede wszystkim pod względem energii cieplnej, jaką otrzymuje od swojego słońca — jeśli słońce to jest większe i jaśniejsze od naszego, ta planeta powinna znajdować się dalej; jeśli zaś słońce jest mniejsze i chłodniejsze — warunki ogrzewania podobne do Ziemi mogą być na bliższej tego słońca planecie. Prawdą jest, że większość gwiazd podobna jest właśnie do naszego Słońca.

Po wtóre, planeta ta powinna być dostatecznie wielka, ażeby przyciąganiem swojej masy utrzymać wokoło siebie dostatecznie potężną atmosferę, która będzie bronić ją od chłodu przestrzeni międzyplanetarnych i zabójczych promieniowań kosmicznych. Ale nie powinna być zbyt wielka, aby mogła utracić w początkowym stadium swego istnienia, gdy znajduje się jeszcze w stanie rozżarzonego, znaczną część gazów, których cząsteczki rozproszyłyby się w przestrzeni wszechświata. W przeciwnym razie dookoła planety utworzyłaby się zbyt zgęszczona atmosfera, nieprzenikliwa dla promieni słonecznych i pełna szkodliwych gazów.

Po trzecie, szybkość obrotu dookoła jej osi powinna być zbliżona do szybkości obrotu Ziemi. W wypadku zbyt powolnego obracania się nastąpi zabójcze dla życia przegrzanie z jednej strony i silne ochłodzenie z drugiej: jeśli obrót będzie zbyt szybki, to naruszone zostaną warunki równowagi. Planeta straci swoją atmosferę, spłaszczy się i w końcu rozpadnie się na równiku.

Ergo: siła ciężkości, temperatura i ciśnienie atmosfery na powierzchnię tej planety w zasadzie powinny być względnie podobne jak na naszej Ziemi.

Takie są zasadnicze przesłanki. A zatem najważniejsza kwestia to poznanie podstawowych dróg ewolucji, tworzących istotę myślącą. Jaka jest ta istota? Co jest konieczne dla rozwoju dużego mózgu, dla jego niezależnej pracy, dla myślenia? Przede wszystkim powinny być rozwinięte potężne narządy zmysłów, a z nich najbardziej — wzrok, zdolność stereoskopowego widzenia za pomocą dwojga oczu, która umożliwia widzenie przestrzenne, pozwala dokładnie utrwalać widziane przedmioty, tworzyć sobie dokładne wyobrażenie o ich kształcie i układzie. Zbyteczne jest mówić o tym, że głowa winna znajdować się na przednim końcu ciała, który najbardziej styka się z otaczającym światem, tuż obok powinny

być umieszczone organy zmysłów, które winny się znajdować najbliżej mózgu, a to dla skrócenia dróg przekazania bodźców. Następnie istota myśląca powinna się łatwo poruszać, mieć skomplikowane kończyny, zdolne do wykonywania pracy, gdyż tylko dzięki pracy, dzięki nawykowi do pracy zachodzi pojmowanie otaczającego świata i przeobrażenie zwierzęcia w człowieka. Rozmiary stworzenia myślącego nie mogą być małe, dlatego że w małym organizmie nie ma warunków dla rozwoju potężnego mózgu, nie ma potrzebnych zapasów energii. Poza tym mała istota jest zanadto zależna od drobnych przypadków na powierzchni planety: wiatr, deszcz itp. są już dla niej katastrofą żywiołową. A po to, by pojąć świat, należy być w pewnym stopniu niezależnym od sił przyrody. Dlatego stworzenie rozumnie myślące powinno posiadać ruchliwość, dostateczne rozmiary i siłę, a więc posiadać wewnętrzny szkielet podobny do naszych kręgowców. Istota ta nie może być zbyt duża: wtedy zostają naruszone najlepsze warunki wytrzymałości i proporcjonalności organizmu, konieczne dla wykonania nadprogramowej pracy w porównaniu z niemyślącymi istotami, pracy dźwigania ogromnego dodatkowego ciężaru — mózgu.

Ale zanadto się nad tym rozwodzę... Krótko mówiąc, stworzenie myślące powinno być kręgowcem, posiadać głowę i być mniej więcej naszej wielkości. Te wszystkie cechy człowieka nie są przypadkiem. Mózg zaś rozwija się wtedy, jeśli głowa nie jest narzędziem, nie jest obciążona rogami, zębami, potężnymi szczękami, nie ryje ziemi, nie chwyta zdobyczy. Jest to możliwe wtedy, gdy w przyrodzie istnieje dostatecznie posilne pożywienie roślinne; dla naszego człowieka na przykład dużą rolę odegrało pojawienie się roślin uprawnych. To wyzwoliło jego organizm od stałego pożerania niezliczonych ilości masy roślinnej, co było udziałem stworzeń roślinożernych, a także od losu drapieżników — stałej pogoni za żywym łupem i zabijania go. Drapieżne zwierzę, chociaż karmi się pożywnym mięsem, musi jednakże posiadać przyrządy przystosowane do napadania i do zabójstwa, które przeszkadzają rozwojowi mózgu. Jeśli istnieją płody ziemi, to szczęki mogą być stosunkowo słabe, może rozwinąć się ogromna kopuła czaszki zawierającej mózg, która przytłacza sobą pysk. Można by jeszcze wiele powiedzieć o tym, jakie powinny być kończyny, ale jedno jest jasne: człowiek musi posiadać swobodę ruchów, zdolność posługiwania się narzędziami i sporządzania tych narzędzi. Bez narzędzi nie ma i nie może być człowieka. Teraz ostatni wniosek: przeznaczenie kończyn musi być różne — jedne winny wykonywać funkcje poruszania się — nogi, inne muszą być przyrządami do chwytania — ręce, które są przyrządami skomplikowanymi, zdolnymi wykonywać najrozmaitsze ruchy. Wszystko to wiąże się z tym, że głowa musi być podniesiona ponad ziemią, w

przeciwnym razie słabnie zdolność percepcji otaczającego świata,

Stąd wniosek — kształt człowieka, jego wygląd jako myślącego zwierzęcia nie jest przypadkowy — odpowiada on najbardziej organizmowi, który posiada ogromny, myślący mózg. Pomiędzy wrogimi życiu siłami kosmosu istnieją jedynie wąskie korytarze, które są wykorzystane przez życie, a które określają wizerunek człowieka. Dlatego każda istota myśląca powinna posiadać wiele rysów wspólnych z człowiekiem, zwłaszcza podobną musi mieć czaszkę. Tak, nie ulega wątpliwości, że czaszka musi być podobna do ludzkiej. Oto pokrótce moje wnioski. — Szatrow umilkł. Powstrzymywana z trudem niecierpliwość wreszcie wybuchła: — A teraz pokaż mi wreszcie tego niebiańskiego zwierza, prędeży!

— W tej chwili! — Dawydow przystanął obok szafy. — Muszę przyznać, Aleksy Pietrowiczu, że masz zupełną słuszność! W takich chwilach odczuwa się, jak potężna jest nauka, jak wspaniała jest myśl ludzka...

— Doskonale, zaraz zobaczymy. Pokaż go!

Dawydow wyciągnął z szafy szerokie pudło.

Szatrow ujrzał ciemnofioletową czaszkę, pokrytą ornamentem z wgłębień i rowków, wyrytych w kości. Potężna kopuła — siedlisko mózgu, była zupełnie podobna do ludzkiej, takie same wielkie oczodoły, skierowane prosto przed siebie i oddzielone wąską kością nosową. Potylicy oraz krótkie, pionowe kości policzkowe były również zupełnie podobne do ludzkich. Ale zamiast wysuniętej kości nosowej było trójkątne wgłębienie. Od podstawy wgłębienia górna szczęka, podobna do dziobu, z lekka zagięta ku dołowi, ostro wysuwała się naprzód. Dolna szczęka odpowiadała górnej i tak samo nie posiadała śladu zębów. Jej końce, tworzące stawy, opierały się poziomo o wgłębienia na końcach szerokich wyrostków, które opuszczały się ku dołowi z przedniej strony okrągłych dużych otworów znajdujących się po bokach czaszki pod skroniami.

— Czy jest mocna? — cicho zapytał Szatrow i gdy Dawydow potakująco skinął głową, wziął czaszkę do rąk. — Zamiast zębów, widocznie posiadała tnącą rogową powłokę, jak u żółwia? — zapytał Szatrow i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: — Budowa szczęk, nosa, narządu słuchowego jest dość prymitywna... Te wgłębienia na kości, cała rzeźba, wskazują, że skóra bardzo dokładnie przylegała do kości, bez podskórnej warstwy mięśniowej. Taka skóra prawdopodobnie nie miała na sobie włosów. A poszczególne kości... oczywiście, trzeba się jeszcze w tym zorientować, ale proszę spojrzeć: szczęka składa się z dwóch kości, co jest również bardziej prymitywne niż u człowieka...

— To znaczy, że droga ich ewolucji do osiągnięcia stanu myślącego człowieka była krótsza niż u nas — dorzucił Dawydow.

— Właśnie! Tam, na ich planecie, mogły być nieco inne warunki przyrodnicze, inny przebieg procesów geologicznych, inne warunki doboru naturalnego. Oto dlaczego, jeżeli wiek różnych systemów planetarnych, tak jak i gwiazd, jest mniej więcej jednakowy, oni wyprzedzili nas mniej więcej o siedemdziesiąt milionów lat. Ciekawe, czy zbadałeś skład tej kości?

— Dokładnie nie badałem. Ale wiem, że zasadniczym jej składnikiem nie jest fosforan wapnia, jak u nas, ale...

— Czy krzem? — szybko przerwał Szatrow.

— Właśnie. I to jest zrozumiałe: własności chemiczne krzemu podobne są do węgla i dlatego może być wykorzystany w procesach biologicznych.

— Ale szkielet? Pozostałe kości? Czy rzeczywiście nie znaleziono nic? ^J

— Absolutnie nic, prócz... — Dawydow wyciągnął z szafy drugie pudło — prócz tego.

Szatrow ujrzał dwa nieduże metalowe odłamki i okrągły krążek o dwunastocentymetrowej średnicy. Małe odłamki miały ścianki jednakowej wielkości, ale ułożone były odwrotnie na każdym kawałku. W ogóle zaś każdy odłamek podobny był do ściętego graniastosłupa.

Metal ze względu na jego ciężar podobny był do ołowiu, ale różnił się tym, że był o wiele twardszy i koloru żółtawo-białego.

— Zgadnij, co to jest — powiedział Dawydow podrzucając w rękę ciężką bryłkę.

— Nie mam pojęcia. Jakiś stop... — mruknął Szatrow. — Zresztą jeśli pytasz, to chyba jest to coś niezwykłego.

— Tak, to jest hafn, rzadki metal, o własnościach podobnych do miedzi, ale cięższy i o wiele trudniej topliwy. Posiada jedną ciekawą właściwość — ma dużą zdolność wysyłania elektronów w wysokich temperaturach. To ma już pewne znaczenie, zwłaszcza jeśli spojrzysz na to dziwne zwierciadło.

Szatrow wziął do rąk metalowy krążek, który również okazał się bardzo ciężki. Brzeg krążka był zaokrąglony i miał jedenaście głębokich nacięć, ułożonych wokoło w jednakowych odległościach. Z jednej strony powierzchnia dysku była lekko wgłębiona, wypolerowana i bardzo twarda. Była to przezroczysta jak szkło warstwa, pod którą widniał czysty, srebrzystobiały metal, zżarty z jednego końca przez jakiś brunatny nalot. Przezroczysta warstwa okrążona była pierścieniem twardego błękitno-szarego metalu, z którego właśnie zrobiony był cały krążek. Na odwrocie krążka, w środku, widać było krążek, zrobiony z takiejże przezroczystej masy, pokrytej matowym nalotem, ale o wypukłej, nie zaś wklęsłej, jak

na odwrocie, powierzchni. Średnica tego, krążka nie przekraczała sześciu centymetrów. Dookoła zaś był wciąż ten sam błękitnawo-szary metal, na którym ułożone były na kształt pierścienia wyrzeźbione czy też wyciśnięte gwiazdki o różnej ilości promieni, od trzech do jedenastu. Gwiazdki te nie były umieszczone w jakimś określonym porządku, lecz rozgraniczone dwiema spiralnymi liniami, wplecionymi jedna w drugą.

— Krążek zrobiony jest z tantalu, który jest metalem twardym i niesłychanie odpornym. Przezroczysta błonka zrobiona jest z nieznanego związku chemicznego. Zwykła analiza jakościowa nie dała żadnych rezultatów, a bardziej skomplikowanych badań nie zdążyłem jeszcze przeprowadzić. Ale metal pod błonką — to ind, metal o nadzwyczajnych właściwościach.

— Dzięki czemu jest tak nadzwyczajny? — pośpieszył z zapytaniem Szatrow.

— Metal ten jest w naszych instrumentach najlepszym wskaźnikiem promieniowania neutronowego. Że to jest ind, wiem stąd, że zdecydowałem się wyświ-drować tutaj, celem analizy...

— Te gwiazdki — czy to jest jakieś pismo, czy też coś innego? — w zdenerwowaniu zapytał Szatrow.

— Możliwe, że to jest jakieś pismo, może są to cyfry, a może schemat tego przyrządu. Obawiam się, jednak, że tego nie dowiemy się nigdy.

— I to wszystko?!!

— Wszystko. Czy tego ci mało, zachłanny człowieku? I bez tego posiadasz coś takiego, co oszołomi całą ludzkość.

— Czy wykopaliście wszystko? — nie mógł się uspokoić Szatrow. — Dlaczego razem z czaszką nie znaleziono szkieletu. Przecież to niemożliwe, aby nie było szkieletu...

— Szkielet oczywiście był, gdyby to była istota bezkostna, nie posiadałaby również czaszki. Wszystko zostało przekopane, przesialiśmy nawet piasek, ale bardzo wątpliwe jest, czy coś tam jeszcze się zachowało...

— Dlaczego jesteś tego tak pewny? daje ci to prawo?...

— Zwykle rozumowanie. Natrafiliśmy na pozostałości po katastrofie, która zdarzyła się siedemdziesiąt milionów lat temu. Gdyby nie zdarzyła się katastrofa, nie znaleźlibyśmy tej czaszki i w ogóle żadnych szczątków, z wyjątkiem tych dinozaurów, które bez wątpienia będziemy jeszcze spotykać. Jestem pewien, że „oni“ — Dawydow wskazał na czaszkę, która nieruchomo spozierała na przyjaciół swoimi oczodołami — bawili u nas bardzo krótko, najwyżej kilka lat i znów odlecieli do siebie. W jaki sposób doszedłem do tego wniosku, opowiem potem. Proszę spojrzeć tutaj — Dawydow rozwinął duży arkusz milimetrowego papieru

— oto plan odsłonięcia warstw. „On“ — profesor wskazał na czaszkę — znajdował się tutaj na brzegu potoku, z jakimś przyrządem i bronią, która zapewne pozwalała na wykorzystanie energii atomowej. „Oni“ już ją znali i korzystali z niej, to nie ulega żadnej wątpliwości, ich obecność tutaj już tego dowodzi. „On“ zabił za pomocą broni monoklona, i to z dużej odległości. Prawdopodobnie dinozaury porządnie im uprzykrzały życie. Następnie „on“ zajął się czymś i został napadnięty przez olbrzymiego potężnego jaszczura. Czy nie zdążył chwycić swojej broni, czy też broń ta popsowała się — tego się już nie dowiemy. Jasne jest, że potwór został zabity zaledwie o kilka kroków od niebiańskiego przybysza i padł martwy prosto na „niego“. „Jego“ zaś broń zepsuła się albo eksplodowała. Zdrugotany przyrząd mógł wyzwolić skryty w nim ładunek energii i widocznie utworzyło się nieduże pole śmiertcionośnego promieniowania. W polu tym zginęło kilka przypadkowo przybyłych tu dinozaurów — wskazuje na to ten stos szkieletów. Promieniowanie nie dosięgło drugiej strony, od południa, albo też było słabsze. Stąd przybyli też mniejsi drapieżnicy, którzy rozwlekli kości szkieletu niebiańskiego przybysza. Czaszka zaś pozostała na miejscu, możliwe, że była dla nich za ciężka, a może została przygnieciona ciężarem głowy dinozaura. Zresztą zginęła również część szakali — o tu znajdują się trzy małe szkielety. Wszystko to odbyło się na nadbrzeżnych wydmach i wiatr bardzo szybko skrył wszelkie ślady tragedii, która się tu zdarzyła.

— A przyrządy, a broń? — sceptycznie wykrzywił usta Szatrow.

— Należy na to zwrócić uwagę, że pozostały przedmioty i części zrobione z bardzo odpornych metali. Wszystkie inne rzeczy zniknęły bez śladu, utleniły się, rozpadły i rozpuściły w ciągu dziesiątków milionów lat. Metale nie są przecież kośćmi, nie mogą więc skamienieć albo przesiąknąć substancjami mineralnymi i tworzyć dokoła siebie minerały. Poza tym przyrząd mógł być rozerwany i rozrzucony podczas wybuchu lub uszkodzenia broni i to prawdopodobnie spowodowało zniknięcie metalowych części.

— Schemat twój jest prawdopodobnie zgodny z rzeczywistością — zgodził się Szatrow. — Obecnie należy jak najszybciej zbadać tę czaszkę, przeprowadzić analizę ewolucji, opierając się na strukturze kości i ogłosić wyniki drukiem. Taki artykuł padnie jak grom z jasnego nieba!...

Wypukłe, jasne oczy Szatrowa nie mogły oderwać się od ciemnej czaszki niebiańskiego przybysza.

Dawydow objął przyjaciela i lekko nim potrząsnął.

— Nie ogłoszę opisu tej czaszki.

Szatrow szarpnął się ze zdumieniem, ale Dawydow przycisnął go do siebie i

zanim ten zdążył cośkolwiek powiedzieć, zakończył:

— To ty ją zbadasz i opiszesz. Tobie należy się prawnie ten zaszczyt. Proszę, nie oponuj! — wrzasnął na Szatrowa. — Czy zapomniałeś o moim uporze?

— Ale, ale... — Szatrow nie znajdował słów.

— Oto masz i „ale“. Geologiczne sprawozdanie z odsłonięcia warstw, wnioski dotyczące katastrofy, z wymienieniem wszystkich moich współpracowników, zwłaszcza osoby, która wykryła czaszkę — jest gotowe — proszę. Możesz to ogłosić pod moim nazwiskiem załączając jednocześnie swój opis czaszki. Tak będzie sprawiedliwie. — Prawda, Aleksy Pietrowiczu? — Dawydow zmienił nagle ton, który stał się miękki i pełen zamyślenia. — Poza tym mam inną ważną sprawę. Czy pamiętasz, jak trafnie powiedziałeś, że czasem jedna nieprawdopodobna rzecz zahacza o inną, również nieprawdopodobną, i to w sumie daje coś realnego? W tym wypadku realną jest czaszka niebiańskiej bestii. Ale ta realność wywołuje z kolei inne nieprawdopodobieństwa, zahacza o nie i łańcuch ciągnie się dalej. A ja pragnę wyciągnąć go jeszcze dalej!

— Przypuśćmy, że tak jest, chociaż niezupełnie cię rozumiem. Ale to wygląda na ofiarę. Nie mogę tego przyjąć...

— Nie sądz tak, Aleksy Pietrowiczu! Proszę, wierz mi, stary przyjacielu, jestem zupełnie szczery. Czyż w ciągu naszej wspólnej pracy nie dzieliliśmy się najciekawszymi materiałami? Z czasem zrozumiesz, że tu także nastąpił taki podział. Nie chcę przywłaszczać sobie wszystkiego, a zresztą po co? W jednakowy sposób zapatrujemy się na naukę i najważniejszy jest dla nas jej ruch i postęp.

Wzruszony Szatrow opuścił głowę. Nie umiał wyrażać swoich uczuć, zwłaszcza swoich głębokich przeżyć. I obecnie stał przed swoim barczystym przyjacielem, który przypatrywał mu się wesoło. Szatrow niechcący dotknął ręką czaszki niebiańskiego przybysza, mieszkańca „gwiazdnego okrętu“. Okręt zniknął w niezmierzonej głębi przestrzeni, stał się niedościgły dla jakichkolwiek sił, maszyn i myśli.

A jednak oto jego niewątpliwy, bezsporny ślad. Jest on dowodem, że życie przebywa niedającą się odwrócić ewolucję, dąży do stałego udoskonalenia się, choć droga ta jest niezmiernie długa i żmudna. W ruchu tym jest prawo życia — nieuniknione prawo jego istnienia. I jeśli nie zostanie ono przerwane jakimiś wypadkami w kosmosie — to nieuniknionym rezultatem są narodziny myśli, powstanie człowieka, dalej społeczeństwa, techniki, walki z groźną mocą wszechświata. A walka ta może posunąć się bardzo daleko — przybysz dalekiego świata jest tego rękojmią. Gdyby „oni“ zjawili się na Ziemi nie wtedy, ale teraz, jak wiele nowego moglibyśmy się dowiedzieć!

Szarów odwrócił się do przyjaciela i powiedział spokojnie i szczerze:

— Przyjmuję twoją... propozycję. Niechaj tak będzie. Oczywiście będę musiał pojechać do Leningradu, by załatwić swoje sprawy i szybko powrócić. Pracować należy tutaj. Przewożenie takiego skarbu nie jest wskazane. Ale dlaczego, Ilja Andrejewiczu, nazywasz go „niebiańską bestią” ? To brzmi nie bardzo właściwie — po prostu lekceważąco.

— Nie umiem znaleźć stosownej nazwy. Przecież nie można nazywać go „człowiekiem”, jeśli chcemy używać terminologii naukowej. Jeśli zaś sądzić z myśli, techniki, stopnia uspołecznienia, to może jest człowiekiem, ale ukształtował się na innej podstawie anatomicznej. Jego organizm nie jest pokrewny naszemu. To jest inne zwierzę. I dlatego nazywam go niebiańskim zwierzęciem: *bestia caelestis*. Można go nazwać z greckiego: *therion caelestis*. To brzmi nawet lepiej. O prawdziwą zaś nazwę dla niego już ty powinieneś się zatroszczyć.

— A jednakże, Ilja Andrejewiczu — powiedzia po dłuższym milczeniu Szatrow — cóż w takim razie pozostanie dla ciebie?

— Drogiego przyjacielu, wiem, że łańcuch wyciągnę jeszcze dalej... Już dawno rozmyślałam nad rolą reakcji atomowych w procesach geologicznych. A obecnie nasze niezwykle odkrycie wyprowadziło mnie z kręgu spraw powszednich i podniosło na wyższy szczebel myśli, dodało mi odwagi w moich konkluzjach, rozszerzyło granice moich pojęć; spróbować dowieść, że istnieją możliwości wykorzystania olbrzymich źródeł energii atomowej w głębinach skorupy ziemskiej; opracować geologię głębinową, ażeby uczynić ją łatwiejszą do praktycznego zrealizowania. A ty... twoją sprawą jest ewolucja życia i powstanie myśli nie tylko w granicach naszej Ziemi, , ale w obrębie całego wszechświata. Pokazać ten proces, dać ludziom obrazy wszelkich stojących przed nimi możliwości. Obalić małodusznych sceptyków i ubogich niedowiarków, jakich w nauce jest jeszcze bardzo wielu!

Dawydow umilkł. Szatrow patrzył na przyjaciela, jakby widział go po raz pierwszy.

— Ale dlaczegoż stoimy? — powiedział wreszcie Dawydow. — Siądźmy i opanujmy się. Jestem zmęczony.

Obydwaj uczeni zagłębili się w fotelach, zapalili i jak na komendę w zamyśleniu wpatrzyli się w czaszkę, w puste oczodoły dziwnego stworzenia. W gabinecie zapanowało milczenie.

Dawydow patrzył na wypukłe, wyżłobione drobnymi wgłębieniami czoło i wyobrażał sobie, jak kiedyś nieskończenie dawno temu, za tą ścianką z kości pra-

cował ogromny mózg ludzki. Jakie pojęcia o świecie, jakie uczucia, jakie wiadomości napelniały tę dziwną głowę? Co zachowało się w pamięci mieszkańca obcego świata, jakie wizje swojej rodzimej planety miewał na naszej Ziemi? Czy odczuwał tęsknotę za rodzimym światem, pragnienie wielkich spraw, miłość piękna? Jakiego rodzaju stosunki pomiędzy ludźmi istniały tam, jaki był ich ustroj społeczny, czy osiągnął swój najwyższy stopień, kiedy cała planeta stała się jedną pracującą rodziną, bez ucisku, bez wyzysku, bez okrutnej bezmyślności wojen, które trwonią siły ludzkości i energetyczne zapasy planety? Jakiej płci był gość z gwiazdznego okrętu, który pozostał na zawsze na tej obcej dla niego Ziemi.

Czaszka patrzyła na Dawydowa niemo, obojętnie jak symbol milczenia i zagadki. „Tego wszystkiego nie dowiemy się — myślał profesor — ale my, ludzie Ziemi, mamy tak potężne mózgi, że wielu rzeczy domyślamy się. Przybyliście tutaj. Ale przestrzenie naszej Ziemi były zamieszkałe przez potwory, uosobienie bezmyślnej siły. W tępej wściekłości i nieustraszonej potworów tkwiło wielkie niebezpieczeństwo, a was było niewielu. Garstka przybyszów, którzy tułali się po nieznanym świecie, w poszukiwaniu potężnego źródła energii atomowej, w poszukiwaniu myślących współbraci...”

Szatrow poruszył się ostrożnie. Jego nerwowa natura protestowała przeciwko długiej bezczynności. Spojrzał z ukosa na zamyślonego Dawydowa, ostrożnie wziął ze stołu ciężki krążek metalu i zaczął oglądać dziwny przedmiot z przenikliwością doświadczonego badacza. Profesor przysunął krążek do jasnego światła, specjalnej lampy mikroskopowej i obracał ten szczątek nieznanego przyrządu na wszystkie strony, pragnąc uchwycić niespostrzeżone jeszcze szczegóły konstrukcji. Nagle Szatrow spostrzegł wewnątrz krążka, na odwrotnej stronie tarczy coś, co przeświecało przez matową błonkę. Z zapartym oddechem uczony próbował dostrzec to i podstawiał krążek pod światło pod różnymi kątami nachylenia. I nagle, poprzez mętną warstwę, jaka utworzyła się z biegiem czasu na przezroczystej substancji krążka, Szatrowowi wydało się, że jakieś oczy spojrzały mu prosto w twarz. Profesor krzyknął stłumionym głosem i upuścił ciężki krążek, który z hukiem upadł na stół.

Dawydow podskoczył, jak podrzucony sprężyną, klnąc na czym świat stoi. Ale Szatrow nie zwrócił uwagi na wściekłość przyjaciela. Już zrozumiał i nowy pomysł zmusił go do powstrzymania oddechu.

— Ilja Andrejewiczu — krzyknął Szatrow — czy znajdzie się tutaj coś do polerowania? Drobnym karborund albo jeszcze lepiej szafran i kawałek zamszu?

— Oczywiście, że jest jedno i drugie. Ale co się z tobą stało do stu tysięcy diabłów!?

— Daj jak najprędzej to, o co proszę, Ilja Andrejewiczu! Nie będziesz żałował. Gdzie to masz?

Dawydowowi udzieliło się zdenerwowanie Szatrowa. Wstał, zrobił wielki krok i potknął się o dywan. Gniewnie kopnął zgięty róg dywanu i zniknął za drzwiami. Szatrow chwycił tarczę i zaczął lekko próbować paznokciem wypukłą powierzchnię małego krążka...

— Oto jest — powiedział Dawydow ustawiając na stole słoiki z proszkami, naczynia z wodą i spirytusem oraz kawałek skóry.

Szatrow pośpiesznie i umiejętnie przygotował mieszaninę z proszku do polerowania, wysmarował skórę i zaczął trzeć powierzchnię krążka równomiernym, obrotowym ruchem. Dawydow z chciwym zainteresowaniem obserwował pracę swego przyjaciela.

— Ten przezroczysty, nieznan nam stop jest nadzwyczaj odporny — objaśnił Szatrow nie przerywając pracy. — Mimo to jest niewątpliwie przezroczysty jak szkło, a zatem powinien mieć powierzchnię polerowaną. A tu — proszę — powierzchnia jest matowa, czyli że została w ciągu milionów lat przeżarta przez piasek. Nawet tak odporna substancja musiała się poddać. Ale jeżeli go odpolujemy, stanie się na powrót przezroczysty.

— Przezroczysty ? I cóż dalej ? — zwątpił Dawydow. — Przecież z drugiej strony tarczy przezroczystość zachowała się. Widzę warstwę indu i to wszystko...

— A tutaj jest wizerunek! — w podnieceniu krzyknął Szatrow. — Widziałem, widziałem! I jestem pewien, że ukryty jest tu portret gwiazdnego przybysza, a może nawet tego samego, do którego należy ta czaszka. Po co jest tutaj — może to jest rozpoznawczy znak na aparacie, albo może taki był u nich zwyczaj — tego się nie dowiemy. Zresztą to nie jest ważne, jeżeli udało się nam rzeczywiście dostrzec jakiś wizerunek... Wystarczy spojrzeć na kształt powierzchni — to jest soczewka optyczna... Ale poleruje się doskonale — mówił dalej profesor próbując palcem krążek.

Pochylony poprzez ramię Szatrowa, Dawydow z niecierpliwością patrzył na tarczę, na której pod pasmami mokrej, czerwonej papki coraz wyraźniej^J występował szklisty połysk.

Wreszcie Szatrow westchnął z zadowoleniem, startł masę do polerowania, zwilżył krążek spirytusem i przez kilka minut tarł go suchym zamszem.

— Gotowe! O key! — Podniósł tarczę do światła, trzymając ją w ten sposób, aby światło odbijało się wprost na patrzących.

Obydwaj profesorzy mimo woli drgnęli. Z głębi zupełnie przezroczystej warstwy, powiększona w jakiś pomysłowy optyczny sposób do wielkości naturalnej

— spojrzała na nich dziwna, ale niewątpliwie — ludzka twarz. Wykonany w jakiś nieznanym sposobie, wizerunek był wypukły, a najważniejsze — niezwykle, nieprawdopodobnie żywy. Mieli złudzenie, że spogląda na nich żywa istota, oddzielona tylko niewidzialną przegrodą soczewki optycznej. A przede wszystkim uparczywie patrzyły przyćmiewając wszystkie inne wrażenia ogromne, wypukłe oczy.

Podobne były do jezior, w których kryje się tajemnica wszechświata, były natchnione rozumem i natężoną wolą i jak dwa potężne promienie dążyły naprzód, poprzez szklaną przegrodę, w niezmiernie oddalony przestrzeni. W oczach tych lśniło światło nieskończonej odwagi rozumu, który zdaje sobie sprawę z nieubłaganych praw rządzących wszechświatem, rozumu wiecznie miotającego się w mękach radości i poznania.

I spojrzenia uczonych Ziemi skrzyżowały się z niesamowitym wzrokiem, który spoglądał ku nim z otchłani wieków, i nie opuściły się zawstydzone. Szatrow i Dawydow odczuli radosny tryumf. Myśl, choć rozrzucona w oddalonych od siebie i niedostępnych światach, nie zginęła bez śladu w przestrzeni i czasie. Nie, samo istnienie życia było rękojmą ostatecznego zwycięstwa myśli nad wszechświatem, rękojmą tego, że w różnych zakątkach przestrzeni międzyplanetarnej trwa wieczny proces ewolucji, tworzenie się wyższej formy materii i twórcza praca poznania...

Gdy uczeni ochłonęli po pierwszym wrażeniu, jakie wywarły na nich patrzące oczy gwiazdnej przybysza, zaczęli oglądać jego twarz. Okrągła, o dużych oczach, pozbawiona zarostu głowa, o grubej i gładkiej skórze, nie wydawała się ani potworna, ani wstrętne. Potężne, szerokie i wypukłe czoło miało w sobie coś ludzkiego i rozumnego, a zadziwiające oczy sprawiały, że zacierało się nieprzyjemne wrażenie odmiennej dolnej części twarzy. Nieobecność uszu i nosa, usta w formie dzioba były bardzo nieprzyjemne, ale nie mogły zatrzeć wrażenia, że nieznaną tą istotą jest człowiekowi bliska i rozumiała. Wielkie braterstwo ducha i myśli z ludźmi Ziemi bezwiednie przemawiało z oblicza gościa naszej planety. Szatrow i Dawydow widzieli w tym rękojmę tego, że mieszkańcy różnych gwiazdnych okrętów wzajemnie się rozumieją, kiedy przestrzeń, która dzieli światy, zostanie wreszcie zwyciężona, kiedy nastąpi w końcu spotkanie myśli, rozrzuconej po dalekich planetarnych wysepkach wszechświata. Uczonym przyjemnie byłoby myśleć, że zdarzy się to wkrótce, ale rozum mówił o tysiącletniach, jakie jeszcze miną, zanim nastąpi wielka rozbudowa naszego świata.

A przede wszystkim należy połączyć narody własnej planety w jedną brater-

ską rodzinę, znieść nierówność, ucisk i rasowe przesady, potem zaś dążyć ku połączeniu różnych światów. W przeciwnym razie ludzkość nie będzie w stanie wypełnić największego swego bohaterskiego czynu — ujarznienia groźnych międzygwiazdnych przestrzeni, nie będzie mogła sobie poradzić z zabójczymi siłami kosmosu, grożącymi żywej materii, która odważyłaby się porzucić swoją chronioną przez atmosferę planetę. Ażeby osiągnąć ten pierwszy stopień, należy z całych sił duszy i ciała pracować nad urzeczywistnieniem tego warunku, koniecznego dla wielkiej przyszłości ludzi na Ziemi!

K O N I E C

S P I S T R E Ś C I

ROZDZIAŁ I

Na progu wynalazku

ROZDZIAŁ II

Przybysze z gwiazd

ROZDZIAŁ III

Oczy rozumu